Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1886. Rok IX.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

# Puszcze i knieje podgórskie w starożytności i wiekach średnich

przez

Szczęsnego Morawskiego.

(Ciąg dalszy.)

Feniccy kapłanie posadzkę grobową wykładali głazami drobnemi i wylepiali gliną, na to kładli trupa i oblewali rozczynem obrzednim gliny, z której też na toczydle toczyli naczynie na popioły dodając do gliny tłuczonego granitu lub trachitu; urabiali też z czystej gliny naczyńko ofiarne na objatę duszy zmarłego. Poczem podpalali stos jałowcowy a lud pobożny dorzucał gałęzi aż się spaliły zwłoki i wygorzały gorczki. Kapłanie odgarnęli popiół drzewny, z pod skorupy gliniastej wyjęli popiół ciała i złożyli w miskę niby w trumnę. Krewni kładli tam co nieboszczyk miał drogiego: ozdoby brązowe, cacka, korale i t. p. a obok miski broń, narzędzia n. p. nóż, młot kamienny, kamień do rozcierania zboża, ciężarki tkackie i t. p. Wszystko to wraz zasypano piaskiem lub ziemią miałką, przykryto znów głazikami nadając okrągłość wypukłą kopca, który podwyższano sypiąc nań ziemię.

Mogił takich pełno było na Świdnikach, w Łukowicy i Świdniku. Dziś przyorane ale pług wydobywa z ziemi brązy i szkła fenickie, które opisałem dokładnie w dziele mojem „Prasławiany i Prałotwa“ i które posiadam wraz z wykopaliskami grodzisk sąsiednich. Rozkopywałem też smętarzysko a między innemi ocaliłem kawałeczek polepy glinianej trupa, któren zupełnie przylega do kostki mej ręki prawej — znać nieboszczyk był mego wzrostu i tuszy!

Na grodzisku Sączu nie mogłem ocalić brązów, o których wspomnienie umieściłem w Sądeczczyźnie (tom I).

Tutaj więc na lewym brzegu Dunajca górował człowiek i staczał boje zażarte z sobą nawzajem.

Zwierz potężny ustąpił za rzekę w Podkrępasze.

Człowiek późniejszy przybywał w góry temiż brzegami Dunajca od Krakowa. Człowiekiem tym był naród Lechów pod wodzą króla swego Bolesława co zawładnął górami temi i z wojskiem swojem drzymie od wieków w jaskini którejś w Tatrach!

Jego śladem kroczyli królowie polscy, na łowy podgórskie porzeczami przytoków Wisły.

Podhale przed tem było pustką i puste było porzecze Dunajca aż po Sącz.

Sarmatów część znaczną r. 450 wypłoszyła nawała Hunnów Atylli ciągnącego do Gallii. Marcyan cezar byzancki wyznaczył im siedliska za Dunajem.

R. 563 Awary w Pannonji założyli państwo silne, Bajan chan zawładnął Sławiany południowej Pannonii i chcąc utworzyć potęgę wielką sławiańską pod rządami Awarów zawezwał do przymierza Sławiany północne co

obsiadły przez Sarmatów opuszczone Podhale zachodnie czyli Biało-Chrobacyą. Z drugiej strony Niemce napierali, srożąc się, dzieci zabite porzucając psom. Więc górale sławiańscy od Babiej góry i Tatr opuścili Podhale (r. 610) zdążyli do Dalmacyi gdzie zastając Awarów wojowali ich i zwyciężyli za pomocą cesarza Herakliusza, któren ich kazał ochrzcić.

Zwierz zapanował w górach gdy nie stało człeka... puszczę zastał Bolesław! Łowy należały też do przedniejszych uciech królewskich. Bolesław Chrobry ożenił się z Judytą, córką madziarskiego króla Gejzy, który za się pojął za żonę ciotkę jego Adelajdę. Bywając na Węgrach polował w górach Białej Chrobacyi, którą zajął całą aż po Dunaj i Toplą: łowy w Tatrach spowodowały podanie ludu, że tam spi w jaskini. Łowy one torowały ścieżkę pustelnikom świętym z nad Dunajca ku Węgrom i napowrót.

Bolesław Krzywousty Stefanowi węgierskiemu za córką Judytą w posagu dał Spiż cały. Podhale zostało pustkowiem nie zagłuszane wojnami jak Spiż. Mieczysław Stary za żonę (wtórych gód) miał córkę Beli króla węgierskiego a był myśliwym namiętnym i nie dawał tępić zwierza i zaprowadził karę za ubicie niedźwiedzia. Toć też Podhale zostało puszczą głuchą i Bolesław mąż Kingi węgierskiej łowiąc tam, obznajamiał się z kryjówkami, które potem życie ocaliły jemu i żonie z zakonnicami.

Jak głuchą była puszcza naddunajecka w owym czasie, najlepiej świadczą żeremle bobrowe tamtejsze; bo bobry wynoszą się najpierw.

R. 1293. Kinga już zakonnica, wynagradzając wierną służbę od młodości, księdza Bogusława plebana staro-sądeckiego, nadaje mu las Opolanę między Dunajcem i potokami Obidza i Babipotok, z prawem łowienia bobrów.

Ona też nadaje Wietrznicę sołtystwo nad Dunajcem u ujścia Bełku ochotnickiego z prawem łowu ryb i bobrów, byle tylko jazami nie zamykano Dunajca i Bełku (potok z Ochotnicy płynący).

Nawała Tatarów okazała potrzebę zaludnienia gór i była powodem zakładania sołtystw wojennych (*jure militari)* na prawie teutońskiem, usuwając wszelkie daniny i trudy łowów królewskich. — Sprowadzano Niemce, polecano korczować lasu jak najwięcej uwalniając ich od wszelkiej daniny, byle wycinali lasy niepożyteczne. — Tak w nadaniach wyraża się Gryfina wdowa Leszka Czarnego; tak przełożone Kingi klasztora, któremu Sądecczyzna przypadła dziedzictwem.

Królowie jednak, łowy w Podhalu zachowywali sobie i tylko Opatom w Szczyrzycu Bolesław Wstydliwy (r. 1255) dozwolił łowów aż po Tatry.

Jadwiga wdowa Łokietkowa (matka Kaźmierza Wielkiego) wstąpiła do zakonu i jako przełożona klasztoru Kingi nadała 100 łanów lasu nad Kamionką czarną, na założenie miasta, z myśliwstwem i rybołowstwem (r. 1336). R. 1339. znów, chcąc z borów i lasów sądeckich, pomnożyć zyski i pożytki, na założenie miasta Wrocimirowej — nadaje las od Łososiny rzeki do Tęgoborzy. Kazimierz Wielki także, dla „pomnożenia zysków koronnych" — rozdawał lasy i gaje, z których mu żadna korzyść nie świtała. R. 1348 nad Poprutem założył Piwniczną szyję, miasteczko i mnogie wsie. Mieszczanie N.-Sącza r. 1364. zakładali na trzebieżach Cieniawę i Mszalnicę.

XII. *Chronów i Rajbrod — w porzeczu Uszwi.*

*Uszew* wieś, to sarmackie: *usz* miasto.

Okocim, sarmackie: *chot*, stajnie, stadniki bydlęce.

Jastew, łotewskie: *jatwa* wół.

Sarmaty dotarli tu od Dunajca. Łotwa wypierała ich zagonami od Wisły: wyparta, zapanowała i siedziała czas dłuższy skoro i po niej nazwy pozostały. Bolesław Chrobry zawładnął a potomkowie jego radzi nawidzali te puszcze.

*Chronów.* Puszcza stara, oblana Uświcą z osadami: Łomna, Połom, Borową, Gosprzydową i Lipnicą. Rdzeniem jej: Krasna góra 199.4.

*Uświca*, *Gosprzydowa* i *Krasna:* wyrazy stare, jakim był i Chronów, t. j. miejsce schronienia, może jeszcze Chrobrego, Lachów zajmujących Chrobacyę.

*Rajbrod.* Nad Uświcą górną i Iwkową wężem skręcone pasmo gór tej puszczy, od wschodu Dunajcem, od południa Łososiną oblane, 4 mile wzdłuż (od Kostrzy po Dunajec) a do dwu mil wszerz rozległe, tworzy ostepy i puszczę jakich mało.

Wężowata krętanina gór, pośród których potoki i potoczki a w półokół rzeka Łososina z Dunajcem poważnym, niesłychanie urozmaica i rozwesela okolicę, która jakby stworzona pod łowy wesołe.

Tam też podanie mówi: że Bolesław Wstydliwy na Kobuli zaskoczony słotą, nie mógł się dostać do dworu swego przez potok wezbrany. Więc mu jakiś łowca przybył w pomoc: porail bród i przeprowadził, za co dostał kawał puszczy pod osadą Rajbrod i stał się praojcem Rabrockich.

Tam od strony Dunajca na pięknej wyzinie z widokiem na Sącz, leży *Drużków* pielesza herbu Drużyny, a zaraz pod nią *Dobrociesz* zaścianek leśny; sama szlachta, kmieć żaden jak pisze Długosz, a wszystko herbu Brochwic z godłem jelenia, to leżącego, to biegnącego. Jeden jeleń czerwony, ma koronę na szyi, tak samo drugi biały, trzeci w połowie przechodzi w Leliwę panów Melsztyńskich. Że Dobrociesza była knieją, kędy dostojni łowcy zażywali dobrej uciechy, nie ma co wątpić! jeżeli zaś korona oznacza króla, toćby jeleń z koroną oznaczał uciechę króla w domu któregoś Brochwica. Leliwa też połączona z jeleniem Brochwiców sąsiadów... Król Kazimierz Wielki r. 1343 w Czchowie pobliskim szukał rozrywek, a niezawodnie zaglądał i do Dobrocieszy na łowy jelenie.

Dalej następują puszcze:

XIII. *Tęgoborza*, z pustynią św. Justa i pagórkiem Rachów, sarmackiem *ur-aach* t. j. pagórek. Puszcza zajmuje górskie pasmo Załacz od Dunajca aż po Łososinę górną. Że była jaworową, wskazuje Jaworzne i Jaworze.

*Chełm* wirch podłużny (423°) sterczały nad całem pasmem i widny zdala. Pod nim Zawadka wskazuje przesmyk obronny wedle Dunajca i Białowody. Homranice w dole wskazuje miejsce pracy osadników niemieckich przy założeniu N.-Sącza.

XIV. *Łowczów* ze starym gródkiem Lichwin.

XV. *Pałecznica*, w której kniejach za czasów arjaństwa, zdrój „Dobrawoda" pod Bukowcem służył za chrzcielnicę nowochrzceńcom.

XVI. *Królowa z Cieniawą.* Są to dawne łany nowosądeckie wolne, których knieje w XV i XVI wieku opalały 4 kuźnic przedmiejskich, wyrabiających sierpy, kosy, miecze, blachy i t. d.

Sam Nowy Sącz w trójkącie ujścia Kamienicy do Dunajca, wedle starodawnych podań, zbudowany został na miejscu cisowego boru odwiecznego, którego ślad w Ja-

mnicy naprowadza na wniosek, że puszcza ta od Dunajca przez Kamienicę rzekę i całą Cieniawę, była przeważnie cisową.

Na kończynie Rossochatki krużlowskiej, leży Grybów z kościółkiem drewnianym wieku XV, którego odrzwi się robak nie tknął, wilgoć nie zgnoiła. Za Dunajcem Świniarsko.

Cienista puszcza była więc przeważnie borem cisowym, modrzewiowym i limbowym, w którym pasły się jelenie na Lelonkach nim ustąpiły bydłu (Paszyn). Cisowy bór okrywał środek niegdyś jeziorzyska sądeckiego, podobnie jak w Żywcu bujając po namulisku. Podobnie też w około boru, dąbrowami pasły się świnie.

Naprzeciwko miasta Nowego Sącza gródek Chełmiec nad Szczołbem.

XVII. *Krępak* — wschodnia kończyna Magury spiskiej, wypełnia międzyrzecze Popradu i Dunajca...

Magurą spiską, zwan zachodni odczoch Tatr, którego przyłękiem są wirchy nad źródliskami Białki i Żdżaru. Z doliny Białki od Jurgowa potokiem Jaworowym po pod Jaworzynkę, jest przesmyk ku Beli nad Poprutem, więc ścieża samorodna od Pannonii.

Kiczora w Podtatrzu zaraz na Jaworynce jest początkiem Magury, świadcząc że tędy była ścieża fenicka.

Zdżar potok zwraca się ku Poprudowi — fenickie *zed* zwrot; *jar* rzeka — Tutaj zwracali się ku rzece innej, od Dunajca, więc tak nazwali szczyt najwyższy.

Tokarnia, skałka stercząca, strażnicza — (fen.) *tohek* trąbić.

Dziur (tak lud zwie jaskinie) pełno w tych górach — *dzur*, dziurawić.

*Margeta* — jaskinia pod skalnemi wrotami — (fen.) *mar* jaskinia; *argoje* spoczynek.

*Magura*, folwark na wirchu Magury pasma wedle cesty z Węgier ku Polsce wiodącej, jest śladem schroniska fenickiego, u podnóża gór.

Kiczora nad Drużbakami...

To! już *Krępaki*, sarmackie góry szczaw: *ker-poln-ach* — *ker* żelazo, *poiln* kąpiel, *ach* góra. –

Krępach szczyt w pośrodku szczaw: Suliny, Lipnika, Libowli, Gniazd, Lackowej, Kamionki... A ileż tam szczaw nieznanych po lasach, potokach? Sarmaty wogulskie nie mogli gór tych nazwać dosadniej.

Z Krępaku tryska też nasza Szczawnica.

*Setvia* — Ptolomeusza pod 42° 31′ długości 50° 0′ szerokości, 12 mil ku północn. wschodowi oddalona od *Parienny* Poronina: — to Szczawnica, Szczawia, w ustach cudzoziemca brzmiąca jako *Stawia*, *Setvia*.
Znaną była Fenikom dążącym od Tatr.

Jarmuta – *jorimut*, kopalnia mokra w Leśnicy po fenicku dosłownie zwanej *Jarim-ut*.

Tu ś. p. Gwalbert Pawlikowski z Medyki r. 1840. odkrył smętarzysko — (fen.) *muth* śmierć — z garnkami popielnemi i brązami, mianowicie siekierek kilka z uszkami; służących też za dłuta ztąd z grecka zwanych *keltos*, z łotewska *kalts* t. j. dłuto. Akademia nauk krakowska obecnie dziedziczka *Setwii* Ptolomeusza; za czasem prawdopodobnie zechce się zająć badaniem dalszem!

Krępak był knieją jaworową, jako świadczą Jaworyny mnogie i Jaworki, Jaworze...

Dziury t. j. jaskinie mnogie a niektóre wspaniałe, noszą ślady rąk ludzkich, mianowicie dziura w Haligowcach (Axamitka) widoczne schronisko przed konnicą najezdników z wykrzosanym niedołężnie otworem ku Pannonii równiom.

Haligowce zwane też Hunigau, jest osiedlem Ossów jezdnych — (osseck.) *Chąggau*... *chąg* góra, *gau* osiedle. Miało ono się zwać niegdyś Ewa wedle podania — fenickie *heve* zagroda, ogrodzieniec.

Od Lipnika Jawornikami zdąża się na Rochacze łęk Krępaku polskiego i węgierskiego. W lipowej więc i jaworowej kniei były tu jelenie i rogacze.

Od Rogacza polskiego niedaleko są Złotwiny, których położenie dokładnie opisał Długosz wyszczególniając: że tam znachodzą ziarnka złota litego, wielkości grochu i bobu (patrz Sądecczyzna II. 320).

Cisem cębrowane były złotwiny one: więc wśród jaworów i lip rosły cisy.

Złotwiny były w Złotym potoku między Tylmanową a Krościenkiem, w Złotym potoku naprzeciwko Maszkowic; na Jaworzu nad Szczawnicą; na Homoli szczawnickiej; a one najbogatsze na Baniskach nad Rostoką.

*Krakowka* na Obidzy była zameczkiem fenickich górników, gdzie składali skarby zebrane.

*Mogorzyca* polana pod Skałką w pobliżu kopalni bogatych, była ich gospodą w miejscu bardzo dogodnem i zacisznem, kędy dziś zwierz rad przebywa.

*Męczennica* polana naprzeciw Tylmanowej — oznacza Przechybki (czyli Beskid) pobliskie — fenickie *mainszolk*, wód kidanie... Menczył... Potokiem czy wirchem gronia, przystęp łatwy do Dunajaa i Pra-Sącza. Do Starego Sącza zaś wiedzie ścieża od Rohacza wprost, ścieża odwieczna (zwana dziś Ruską drogą) ścieża jantarowa dalsza, ku Asancy Ptolomeusza — t. j. ku Pra-Sączowi (dziś grodzisko Nasączowice).

Z szczytów Krępaku od Jaworzyny wedle Barcic i Moszczennicy wiedzie na Lipie moszczennickie czyli mozdrzeniowe.

Tu roku 1884. znaleziono brązy i szklane korale siwe w czerepach garnka popielnego, które posiadam, a które są nieochybnem drogoskazem cesty jantarowej. Są tam potężne wojenne naramienniki, są naręczaki, zausznice, skrętki łańcuchowe... są korale siwe barwione *smaltą* i miedzią i zielone żelazem; są z *pasty* szklistej i żużelistej różnobarwnej... Opisałem je w Przeglądzie rzeszowskim *(R. 1884. Nr. 10)*. Tutaj więc z kniei cisowo-jaworowej, schodziło się w ciepłą knieję Modrzewiową (mozdrzeniową), od której na wschód Lipie roztaczało swe piękne konary, mieszcząc w dudłach barcie rojów pszczół. Niedźwiedź wonią i miodem zwabiony nie omieszkał zaglądać z wierchowisk Krępaku, a człowiek podróżny musiał z nim stacząć walkę: o życie lub śmierć.

Niedźwiedza hala nieopodal pod Rohaczem... obok Sarniego gronia.

Tamtędy zasie cesta ku spławom Poprutu spławnego już w Pławcu powyż Orłowa.

*Magura* (orłowska) świadczy, że korzystali z spławu Fenicy.

*Magura* (pilchowska) z *Makowiskiem* i *Kadczą*, świadczą, że przybywali zakładali kuźnice, a może i folusze sukna (fen.) *mokuwes* folusz.

Żywe tu podania: o czarnym baranie... o wozach ciężkich z Paryi kamiennej spuszczanych do rzeki... o to-

pielcu co skacze w wodę... o mamunach i łanuchach co dzieci odmieniają lub połonki ku sobie wabią... o paniczu czerwonym, którego się boją... Wszystko to wraz świadczy, że tu przebywali Puny z Panonii, że tędy pławili ku Baltykowi — w czasach gdy góry porosłe były jaworem i cisem, gdy niedźwiedź z człowiekiem chodził w zapasy: kto ma być władcą gór.

Człowiek rozmnożył się i zwyciężył. Niedźwiedzia ostatniego za naszych już czasów ubito nad Baniskami koło Piwnicznej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# SŁONKA

## (SCOLOPAX RUSTICOLA, DIE WALDSCHNEPFE, LA BECASSE)

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Przystępuję do oznak płci słonek. Tu nasuwają się trudności, dla mnie dotąd nie do przełamania. Nieraz zdawało mi się, że mogę odróżnić z pewnością samca od samicy, a ostatecznie okazało się, że byłem w błędzie, więc na podstawie mego doświadczenia ośmielam się twierdzić, że nikt nie może oznaczyć stanowczo i nieomylnie płci u słonki. Autorowie i myśliwi twierdzą, że u samicy krawędź skrzydła, jakoteż spód ciała o wiele jaśniejsze; są to jednak oznaki niepewne i niedostatecznie określone, według mego zdania bez skalpela i anatomicznego rozbioru trudno z pewnością stanowczo mniemanie wyrazić. Samice są niewątpliwie o wiele większe i nieco rdzawsze, niekiedy lecąc pod promieniami słońca przedstawiają koloryt pierza złotordzawego, rozmiary wszakże słonki mogą nas jedynie po dokonanem porównaniu i zestawieniu pouczyć. Niemniej szczególne i to w tym ptaku, że młode od rodziców nie różnią się upierzeniem, barwa też jesienna zupełnie do godowej podobna. Młode ptaki miewają krótsze dzióby i jak mi się zdaje są nieco mniejszych rozmiarów, jednak nauczony doświadczeniem, iż przyroda często nas mami i wprowadza w błąd, karci naszą zarozumiałość i obala nasze pseudopewniki, nabyte kilkoletniem badaniem, jak domki z kart postawione; nie śmiem podać stanowczej różnicy samca od samicy. Między krociami rozczarowań i pouczeń, jakich doznałem jako ornitolog i myśliwy w mem badawczem życiu, zapisuję tu jedno z ciekawszych. Zwykle po skończonym miocie każę opatrzeć zające w celu stwierdzenia, ile ubito samców i samic, co uważam za rzecz nader pożyteczną. Owoż po kilku latach badania zdobyłem przekonanie, że siwe, duże zające są samcami starymi, chcąc przeto pomnożyć stan zajęcy, uprosiłem mych miłych towarzyszów, iżby tylko do białych strzelali, a oszczędzali rude i płowe. Jakież było moje zadziwienie, gdy na 27 zajęcy białych okazało się 19 samic, a ja upokorzony wyznać musiałem, że poprzednie doświadczenie moje było błędne. Nie zniechęcony tym wypadkiem badałem dalej, a wynikiem tego badania było, że podczas ostrych zim bywa więcej białawych czyli perłowych zajęcy, a kolor turzycy wiele zależy od miejscowości i gatunku gruntu, na którym zające żyją.

Z ptaków znanych mi słonka bardziej podlega odmianom pstrym, jak inne, bywają nakrapiane, przez połowę białe, żółte, płowe, niekiedy z białemi lotkami. W ciągu lat długich z pewnością 6000 owych ptaków leżało przedemną, a oprócz jednej, mającej w prawem skrzydle cztery białe lotki, nie znajdowałem odmian, widywałem je tylko w zbiorach. Dowód to jasny, jak rzadko wydarzają się odmiany.

Życie słonki nie podobne do życia innych ptaków, jest ono zupełnie oryginalne. Sowia postać głupkowata, lecz tylko pozornie, ostrożna ona, myśląca i korzystająca z nabytego doświadczenia, doskonale widząca i słysząca, musi się żywić bez wysilenia, jak najczęściej ptaki okrągłe, ale na mięsie nie bywa osadzony tłuszcz, jak u kszyków i dubeltów. Niby to ciężki, niezgrabny i ospały ptak, nadęty z napuszonem pierzem, ze zgiętemi w kolanach nogami nakształt kaczki, brzuchem niemal ziemię ociera, z piersią zawsze wypiętą, przytem długi, karykaturalny dziób, pionowo ku ziemi spuszczony, przedstawia pocieszny widok. Jednak przy najmniejszym alarmie staje się wysmukłą, stwarza sobie wysokie nogi, głowę podnosi, chyżo się rusza, błyszczącemi, czarnemi oczkami, jak koralami, zerka na wszystkie strony, dziwnie się przeistacza. Uznając istotne niebezpieczeństwo, podbiegnie kilka kroków, podskoczy, rozłoży lotki, a upatrzywszy miejsce ogołocone z liściastego baldachimu, wznosi się lekko i zręcznie, w zwrotnym locie okazuje myśliwemu swe powietrzne ewolucye i krocie niespodzianek, nigdy przewidzieć się nie dających, a drażniących, niecierpliwiących aż do stopnia gorączki. Zapadając zatrzymuje się chwileczkę w powietrzu ponad drzewami, rozpościera skrzydła i nakształt balona spuszcza się na ziemię, postoi, podsłucha, podbiegnie i przez dłuższy czas bacznie obserwuje i rekognoskuje, zanim pocznie żerować. Mylne to zdanie, że słonka w dzień jasno nie widzi i że ma właściwość widzenia w nocy, przeciwnie posiada bystry wzrok, w nocy zaś spi jak każdy ptak. O bystrości wzroku dostatecznie przekonali się myśliwi widząc, jak słonka wykryła najmniejszy nasz ruch, co też nas zmusza do wielkiej wobec niej ostrożności. Słonka mając oczy w tyle osadzone, nie widzi w locie przed sobą w kierunku dzioba tak, jak bieżący na sztych zając, a gruba dosyć osada dzioba zasłania jej widok, ale widzi doskonale w innym kierunku. Często na polowaniu słonka lecąca nad ziemią przeleci o parę stóp od człowieka i dopiero zwróci się w dalszym locie. Jak dostrzega najmniejszy nasz ruch, tak też każdy szelest i głos zwraca jej uwagę. Nieraz o tem się przekonywałem, gdy zakryty drzewem świstałem lub pomrukiwałem, widziałem wtedy, jak słonka wytężała swą uwagę, aby wykryć miejsce, z którego ów głos ją dochodził. Mało jest ptaków, poświęcających drzemce tyle godzin, czasem z zamkniętemi oczami lub z głową ukrytą pod skrzydłem. Nieraz przed wyżłem dziwiło mnie twarde dosiadywanie słonki, podszedłszy z boku przekonywałem się o jej drzemaniu. Widocznie z łatwością się żywi i do syta najada, a lataniem porannem i wieczornem męczy się, więc potrzebuje odpoczynku.

Już przed zachodem i wschodem słońca wybiega na drogi, linje, łączki i halawki i jeżeli znajduje żer, pozostaje na ziemi żerując z powagą, przy skąpym zaś żerze zrywa się i leci na pastwiska i role, niekiedy szuka pożywienia przy brzegach leśnych łąk, szczególnie szuka miejsc, na których się bydło pasło, gdyż w larwach, jajach i żukach, znajdujących się w łajnach, główne jej pożywienie. Jeżeli daleko odleciała od swej dniówki, to kilka godzin przedrzemie na miejscu, a nad ranem znowu żerować pocznie, gdy zaś blisko, to na noc powraca do swych wybranych krzaków. Słonki latają nietylko za żerem, lot wieczorny i poranny jest dla nich potrzebą, więc lecą w pole, powracają do krzaków, okrążają lasy, wznoszą się ponad drzewa, to znowu szyją po liniach i drogach, lub chrapnąwszy kilka razy kołyszą się w powietrzu, w końcu wachlując skrzydłami wolno się posuwają naprzód. Czasem siędzie słonka nad kałużą, obiegnie do koła, zrywa się i pędzi dalej, aby znowu na chwilę zapaść. Noc ciemna i wschodzące słońce, to dla słonek capstrzyk, po którym już nie wolno bujać w powietrzu. Jasnych miejsc, pól i światła słonecznego lękają się i trzeba kilkakrotnie płoszyć słonkę, aby ją zmusić do wylotu na czyste, a przytem straszliwie się boją pierzastych drapieżników, na widok ich jak piłki padają na ziemię i pozostają na niej nieruchome. Aby poznać należycie bystrość wzroku i zręczność lotu u słonki, trzeba widzieć strzałami spłoszoną, gdy szyje śród konarów staropniowego lasu, nie potrącając nigdy o gałęzie, widocznie las jest jej ojczyzną, w której wzrasta i którą zna dokładnie.

Jak kolor turzycy zająca stosuje się do gatunku gleby, którym go dobroczynna przyroda dla bezpieczeństwa uposażyła, tak również zdobi ona słonkę barwą, która ją czyni niewidzialną i chroni od napaści człowieka i zwierząt drapieżnych. Liście brunatne w najróżnorodniejszych odcieniach, leżące na ziemi, nie różnią się od słonki i jeżeli się ona nie ruszy, to można na nią nastąpić i nie zobaczyć jej. W lecie znajduje się to asylum w górskich lasach bukowych. Nieraz przekonałem się o podobieństwie słonki do gruntu, na którym żyje, z tej też przyczyny zabita słonka, bez wyżła z ostrym wiatrem, często przepada, zdawałoby się, że pod ziemię zapadła, a ona leży na liściach. Zdarzało mi się szukać z naganiaczami, chciwymi nagrody, przez długą chwilę zastrzelonej słonki bez skutku, a później przekonaliśmy się, żeśmy ją kilka razy mieli pod nogami. Nie dniuje też nigdy w trawach lub na mchach zielonych, lecz trzyma się wyłącznie pokładu zgniłych liści. Gdy dla żeru wbiegnie w miejsce, na którem staje się widoczną, to przy najmniejszym alarmie ucieka. Zna ona dokładnie sposoby zabezpieczenia życia już to trzymając się brunatnego gruntu, już tuląc się do zgniłych pniaczków i chroniąc się między korzenie. Pocieszny to widok, gdy umyka pospiesznie między naganiaczami, wtedy upatruje barwą podobny do niej pniak i tuli się do niego z widocznem zadowoleniem. Setki razy przypatrywałem się tym manewrom, a niekiedy przy bucie moim przyległa do pniaczka lub w krzak się schowała, w takim razie zdeterminowaną jest przeczekać groźne niebezpieczeństwo i jeżeli chłopak w krzak nie uderzy lub nogą jej nie wypłoszy, to przywaruje i nie podniesie się. Widoczna tu myśl, korzystanie z doświadczenia i plan ułożony w celu ratowania życia. Dziwną właściwość posiada słonka, postrzelona i w ręku trzymana, ze strachu czy z gniewu otwiera do połowy dziób, wierzchnią część w kabłąk wygina, przyczem od połowy do nasady dziób zamknięty. Zrywanie się słonki czyli podlatywanie wydaje głos, dający się naśladować szybko powtarzanem: *wa, wu, wa*, można sądzić, iż klaszcze skrzydłem o skrzydło, kto zna te tony, wie nie widząc słonki, iż się podrywa. Niespodziewanie wypłoszona mruknie lub stęknie zrywając się, wydając głos przypominający objaw trwogi u dubeltów.

Słonka wcale nie jest towarzyską, widocznie rozmiłowana w samotności, rzadko zdarzy się znaleść kilka w stadku, najczęściej lata i żeruje pojedyńczo nie troszcząc się o towarzyszki. Po wychowaniu piskląt, rodzina, zawsze z sześciu ptaków złożona, jeżeli który nie zginął, trzyma się razem, a uważałem że słonki rozrzucone po znacznej przestrzeni, ciągną też w tej liczbie. Trudno odgadnąć, w jaki sposób gromadzą się do wędrówki, czy na upatrzonych stacyach się zbierają, czy chrapaniem się zwołują, badanie jednak udowodniło, że na wschodzie i południu znacznemi stadami zapadają. Z powrotem ciąg mają odmienny, najpierwsze zjawiają się pojedyńcze, są to awangardy wysyłane na rekonensans, później nadlatują sparowane już, a tylko wyjątkowo stadkami. Widocznie w miarę coraz dalszej podróży wiosennej zmniejsza się ilość, pozostając na lęg; stadka więc do nas przybywające mają przeznaczenie ciągnąć na północ i w góry. Te małe słonki, według mego zdania, latające na śnieżnej granicy, wędrowały zawsze w dosyć licznych stadach. Wyjątkowo zegarki słonek wprowadzają je w błąd i narażają nietylko na przykre dniówki, lecz i na rzeczywiste niebezpieczeństwa. I tak przed wschodem słońca przelatują ponad lasy i gaje, swe ulubione przytuliska i lecą dalej, wtem słońce wschodzące odkrywa bezleśną okolicę, więc panika niepospolita zmusza znużone ptaki do zapadania na ściernie i role, wtedy szczęśliwe są, gdy mogą gdzie pod roślinami się ukryć i w zupełnej nieruchomości bez żeru dzień przepędzić. Nieraz wypłaszałem pojedyńcze lub kilka niedaleko od siebie siedzące jadąc konno lub idąc z wyżłem. Jak już wspomniałem, słonka spi dosyć twardo w nocy i często zdarzało się, że ludzie ciągnący sieć na skowronki przykrywały słonki. W Niemczech, gdzie tolerują jeszcze to polowanie, ptasznicy łowią słonki nocujące na roli.

Lot tych ptaków nie da się z lotem innych porównać. Gdy ciągnie lub podróżuje, lot słonki spokojny, ale szybki, wałęsając się (muszę tego wyrazu użyć) po liniach i ponad zrębami, wachluje wolno skrzydłami upatrując wodę lub żer, chwilowo wstrzymuje się z nieruchomemi lotkami i złożywszy je w tył na ogon spuszcza się na ziemię. Zręczność i szybkość lotu podziwienia godne; i tak gdy prosto leci drogą lub przerębem leśnym lotem leniwym, a spostrzeże niebezpieczeństwo, to z szybkością błyskawicy znika z widnokręgu, lub jak spadający kamień rzuca się ku ziemi i umyka do krzaków. Podobnie jak nasze panie nie lubi chodzić pomimo że doskonale i szybko biega, bo z natury leniwa, żerna i drzemiąca do chodu się nie kwapi. Przy ciepłych promieniach słońca południowego wcale się zrywać nie chce i biegnie przez cały miot, dopiero ostatni krzak zmusza ją do poderwania, a wtedy zwykle stęknie. Zdaje się, że pierze słonki mniej posiada tłuszczu, jak u innych ptaków, bo przemaka dokuczliwie, a gdy się woda do puchu dostanie, to trudno jej się poderwać, więc często czyni wielokrotne wysilenia i spada na ziemię, aż wreszcie strach wielki zmusza do podlotu. W czasie słotnym lecą słonki

jak sowy wolno i są łatwe do ubicia, chybione zaś blisko zapadają i biegną jak chruściele. Nikt by nie uwierzył, jaki jej krok posuwisty, często na pewne widziałem miejsce, gdzie zapadła, a po kilku minutach już się oddaliła o kilkaset kroków. Postrzelona traci przytomność i nigdy prawie ucieczką się nie ratuje, jak leśne grzebiące ptaki ledwie zbarczona już się kładzie i tuli do ziemi, rzadko kiedy podbiegnie i to jedynie w tym celu, aby się dostać pod pniak lub pomiędzy korzenie. Spożywając wielką ilość ślimaków, skorupiaków i żuków, często trapiona pragnieniem, biega do kałuż, do zbiorowisk wody leśnej. Na wiosnę więcej wody potrzebuje, jak w jesieni, a gdy jej nie ma, zbiera zręcznie krople rosy z listków i traw, nad wieczorem zaś spieszy na upatrzony moczar. Wieczorami, gdy ciepło na wiosnę i w jesieni, kąpie się, gdzie mało wody w roku posusznym, można spotkać w jednej kałuży kilka kąpiących się. Słonka wchodzi odważnie do wody, zgina nogi w kolanach, zanurza się kilka razy, pozostawiając szyję i głowę nad wodą, wychodzi poważnie na brzeg, strzepuje się kilka razy i rusza lotem w świat daleki. Badając zwyczaje tych najad leśnych upatrywałem po zrębach kałuże i moczarki, na których mogłem się do syta przypatrzyć kąpielom słonek, strzelać w lot i do siedzących. Do przylatujących był strzał prawie niemożliwy, bo jakby z nieba pojawiały się tajemniczo i zapadały bez szmeru. Do siedzących można było przy księżycu strzelać lubo nie zawsze celnie, do podrywających się zaś o tyle, o ile szybko wznosiły się po nad cień zieleni. Wiele lat minęło, a obraz gliniastej kałuży pozostał w mej pamięci, przy niej nie jedno zdobyłem spostrzeżenie, niejedna słonka przepłaciła kąpiel życiem. Na wiosnę chciwiej szukają tych wieczornych abluicii, jak w jesieni już to z powodu parowania się, już też ze zmęczenia po odbytych powietrznych ewolucyach. Nawet w wodzie i na brzegu tokują słonki, rozkładając ogony w wachlarze, biegając w koło, dziobiąc się, podskakując, a niekiedy walcząc zawzięcie, do czego wszakże nie mają odpowiedniej broni, dziób bowiem elastyczny dokuczyć nie zdoła. Po chwili jakby na dane hasło zrywają się i szyją w powietrzu goniąc się, przeganiając i dziobiąc się ustawicznie. Kto cierpliwy i ciekawy, ten po godzinie doczeka się przy kałuży tych samych słonek, lecz już nie będzie mógł strzelić z powodu braku światła. Słonki w powietrzu świszczą czyli syczą i chrapią, przy kąpielach i zalotach na ziemi nie wydają żadnego głosu. Czy się rano kąpią, nie mogę powiedzieć, na płaszczyźnie nie badałem tego ciągu, w górach zaś strzelałem ciągnące, których liczba nie do obliczenia, gdziekolwiek myśliwy stanie, usłyszy i zobaczy słonki i choćby stu ich było, każdy może widzieć i strzelać.

Część znaczna słonek dosięga gór poparowana, a samiczce nader pilno znosić jaja, jeżeli śniegi nie pokrywają powierzchni. Wnoszę, że ta ogromna ilość słonek ciągnących rano i wieczorem, przeważnie składa się z samców. Nie mając żadnych dowodów, nie mogę posądzać samców latających rano i wieczorem, że one świszczą i chrapią wabiąc inne samiczki, nie przypuszczam, aby się dopuszczały niewierności nawet w górach, gdzie moralność u ludzi też nie kwitnie. Sądzę, że kiedy samce są nader przykładnymi ojcami, donoszą troskliwie pożywienie pisklętom i wychowują je, to są też równie wiernymi i czułymi małżonkami. W górach potoki muszą mieć dziwny urok dla zwierzyny i ptactwa, na ścianach tych głębokich deber gromadzi się zwierz, dzik leży i moczy się w źródliskach, sarna lubi spocząć i stać przy krynicznej wodzie, jarząbki i głuszce przeważnie trzymają się tych miejscowości, a słonki mając wodę, ślimaczki i robaczki, nie odstępują tych parowów. Zaiste miły widok tego ptaka, gdy poważnie ponad wodą stąpa z dzióbem pionowo do ziemi spuszczonym, z uwagą szuka żeru i często dziobem uderzy lub też podbiegłszy nieco w wodę łowi jakiś wymykający się owad, po chwili staje, świecącemi oczkami rozgląda się i widocznie rozmyśla, wreszcie uspokojona odbywa dalej nadbrzeżny spacer. Spłoszona najczęściej nie wylatuje ponad brzeg, lecz wzdłuż ścian leci odwiecznym korytem i znowu siada, przez długi czas rozgląda się, zanim przystąpi do żerowania.

Jest dla mnie tajemnicą niewyjaśnioną wyszukanie ulubionych miejsc pobytu słonek. W sadach, wiklinach i innych obszernych krzakach bywa z nieodgadnionej przyczyny ciasna przestrzeń, na której spotykamy słonki i to corocznie przez wiele lat, do tego stopnia jest to rzeczą pewną, że na ciągu jedynie na tych przestrzeniach szukać ich należy. Kilkanaście razy w życiu wykrywałem te ich schronienia i ku nim szedłem do strzału już przygotowany. Nie jednego roku, lecz przez kilka i kilkanaście lat, w jednym ciągu wystrzelane, w drugim pojawiały się inne. Wnioskowałem, że tam być musi obfity żer lub bezpieczne zacisze, ale przekonywałem się, że to nie pociągało słonek. Z jakiej przyczyny tam się jawiły, jest dla mnie zagadką, a co ciekawsze, że jedne wystrzelane bywały przez inne zastąpione. Na wiosnę częściej się pojawiały na tych miejscach jak w jesieni. Przypominam sobie zarośla ledwie kilka sążni ziemi pokrywające nad rzeką, w których zawsze zapadały, pamiętam obszerne i długie wikliny nad wodą, w których na ciasnej przestrzeni przebywały, a od innych stroniły, znowu dwie zbocza zwrócone do słońca, laski w bliskości krzaków, gdzie się co roku pojawiały, jak gdyby miały nakaz siadania na tych miejscach. Nieraz wystrzelałem wszystkie, żadna życia nie uratowała, a w następnym roku znowu strzelałem do słonek, które jak się zdaje, testamentem padłych miały przekazany nakaz odwidzania tych słonczych cmentarzów. W tem mieści się wielka dla myśliwych nauka, im więcej bowiem zna takich miejscowości, tem więcej ubije słonek na wiosnę i w jesieni bez kosztów i znużenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Kilka uwag o układaniu wyżłów

przez

Alexandra hr. Potockiego.

Ze wszystkich ras psów myśliwskich najpożyteczniejszą a w każdym razie najinteligentniejszą jest rasa wyżłów. Bez kwestyi bywają czasem mądre jamniki, ogary, tropowce nawet i charty, lecz tylko wyżeł dojść może do kulminacyjnego punktu psiego rozumu. W całem znaczeniu tego słowa dobre ułożenie wyżłów nie jest tak łatwem,

jakby się na pozór zdawało, wymaga ono przedewszystkiem wielkiego zasobu cierpliwości, pierwszy lepszy gajowy psa wyedukować nie potrafi. Nieraz się zdarzy, że dostawszy lub kupiwszy młodego psiaka, oddajemy go leśnemu, by go wychował i już się więcej o niego nie pytamy, aż przychodzi czas polowania. Kuropatwy już są duże, przepiórki wszędzie się odzywają, trzeba ruszać w pole. Przyprowadza nam leśny psa zaręczając, że doskonale chodzi, że podobnie dobrego psa w całej okolicy nie ma. Zaraz na pierwszy rzut oka fizyonomia i cała postawa psa nam się nie podoba, wygląda on okropnie, chudy i bojażliwy, leśny zaręcza, że mu dosyć jeść dawał, że pies tłusty jest ciężki i słaby ma wiatr. Wchodzimy na pole kartofli, pies chodzi bardzo wolno, blisko myśliwych, za długo wietrzy i szuka w miejscu, gdzie nic nie ma, zaczynamy się niecierpliwić. Nakoniec zalatuje go wiatr od stada kuropatw i staje, gotowi do strzału posuwamy się ku niemu. Kuropatwy pod wodzą starego koguta umykają bruzdą od kartofli, pies szybko idzie za niemi, wołamy na niego, nic to nie pomaga, pies idzie dalej. Zmuszeni bywamy galopem pędzić za nieposłusznym psem do końca pola, kuropatwy się zrywają, strzelamy z obu luf, lecz wskutek zadyszenia następuje regularne pudło. W innym wypadku pies wietrzy kuropatwę lub przepiórkę, lecz tym razem jest on znowu za ostrożny, kładzie się na ziemi i żadne namowy i prośby, ażeby szedł dalej, nie pomagają. Dopiero po dobrem kilkakrotnem kopnięciu posuwa się dalej straciwszy niepotrzebnie dużo czasu. Takie i tym podobne wypadki zdarzają się często ze źle wyuczonymi psami.

Pierwszą rękojmią dobroci psa jest mojem zdaniem czystość jego rasy, niedarmo Francuz mówi „*il chasse de race*“; przysłowie to oparte na wiekowem doświadczeniu myśliwych francuskich. Niechaj będzie pointer, setter, wyżeł kurlandski lub czeski, to obojętne, byle tylko nie był mięszańcem. U psów tak jak u koni, bydła lub owiec, rasa wiele znaczy. Zdarzyło mi się nieraz, spotkać psy z fizjonomją i kształtami wyżła, dobrze nawet chodziły, lecz były to wyjątki, zwykle takie psy wcześnie wiatr tracą. Moją ulubioną rasą są pointery z górnym wiatrem i głównie o ich wychowaniu kilka uwag zamieszczę. Bardzo być może, że to co tu piszę, niejednemu myśliwemu wyda się starem i oklepanem, powie on: „ależ ja o tem dawno wiedziałem“. Prawda, lecz wielu mamy myśliwych, którzy zupełnie fałszywym sposobem wyżły wychowują i nauczają. Dużo już sam psów ułożyłem i nabrałem w tej kwestyi pewnego doświadczenia, którem się z czytelnikami „Łowca“ podzielić pragnę.

Dresura wyżłów składa się z dwóch części: *a)* nauka domowa, *b)* nauka w polu. Kto chce psiaka od małego układać, niechaj przystępuje do dzieła pamiętając zawsze o tem, że głównie łagodnością działać musi. Dawniej używano dużo gwałtowniejszych środków aniżeli dzisiaj, pozbawiano psa jedzenia, snu i bito go bardzo, te wszystkie sposoby dresury uważam za tyranię, bić wprawdzie psa trzeba, lecz tylko w pewnych wypadkach, o których później wspomnę. Jak tylko suka szczenię odchowa, to jest wtedy, kiedy już samo doskonale jeść potrafi i za matką się ciągle nie ogląda, trzeba zaraz rozpocząć naukę domową. Podzielić takową możemy na trzy części: na warowanie, aportowanie i na szukanie schowanego przedmiotu. Warowania jako podstawy dresury domowej uczyć trzeba w następujący sposób. Postawić psu miskę z jedzeniem o jakie dziesięć kroków od niego i powiedzieć „waruj“. Pies kłaść się nie powinien, tylko stać z pyskiem wyciągniętym do miski. Następnie mówi się: „pójdź dalej“. Pies posuwa się powoli, za powtórzeniem drugi raz słowa „waruj“, powinien stanąć i tak długo stać, aż mu się każe posunąć. Jak dojdzie do miski, jeść nie powinien, dokąd nie usłyszy słowa „pyf“. Dobrze jest czasem psa odwołać już od miski do nogi i powtórzyć kilka razy podobną manipulacyę. Naukę warowania trzeba tak często z psem odbywać, aż doskonale zrozumie czego od niego żądają i pamiętać trzeba o tem, żeby nie zapomniał, czego się już raz nauczył. Przejdźmy teraz do drugiego punktu nauki domowej to jest do aportowania. Słyszałem myśliwych, mówiących, że angielskiego pointera nie można nauczyć aportowania, mojem zdaniem jest to twierdzenie zupełnie mylne. Miałem kilka czystych pointerów, które doskonale aportowały, nawet wynosiły mi w późnej jesieni z zimnej wody zabitą kaczkę lub bekasa. W Anglii pointerów nie uczą aportować, mają oni do tego osobne psy zwane r e t r e a v e r, które ciągle idą za nogą i tylko wtedy wysuwają się naprzód, gdy im się każe szukać zabitą zwierzynę. Zdarza się często, że wyżeł widząc spadającą kuropatwę skoczy naprzód, ażeby ją aportować i wtedy resztę stada płoszy, lecz i od tego można go dresurą odzwyczaić. Przedmiot, który psu rzucamy do aportowania, powinien być miękki, niedobrze używać kamienia lub kija, bo pies uczy się go gryźć i później psuje zwierzynę. Najlepiej wziąć kawałek wojłoku i obszyć go grubem płótnem, ażeby ważył najwięcej ćwierć funta. W ręku trzeba mieć zawsze kawałek chleba i słoninę, jak tylko pies rzucony przedmiot zaaportuje i do ręki go odda, musi być wynagrodzony chlebem ze słoniną. Są to rzeczy błahe i na pozór śmieszne, lecz do dobrej edukacyi wyżła niezbędne. Trzecim warunkiem nauki domowej jest szukanie schowanego przedmiotu. Do tego używa się starej czapki lub tego samego kawałka wojłoku, który służył do aportowania, skoro pies znajdzie, trzeba go znowu poczęstować chlebem ze słoniną. Pies nie pojmie zrazu, czego się od niego żąda i wystawieni jesteśmy często na ciężką próbę cierpliwości.

Psa młodego trzymać trzeba w wielkim rygorze, za nieposłuszeństwo karcić, do poufałości zbytniej nigdy nie dopuszczać. Wyżły, którym wolno wejść do salonu i z którymi się wszyscy pieszczą, rzadko bywają dobre do polowania. Również niedobrze jest pozwolić wyżłowi biegać po wsi i wdawać się z innymi psami, gdyż te łatwo go w pole wyprowadzą lub też do lasu, dokąd i cała jego nauka pójdzie. Najlepiej wyżła trzymać w zamknięciu, powinien mieć budę czysto utrzymaną, mającą z przodu trochę miejsca, żeby się mógł swobodnie poruszać, wszystko zaś otoczone powinno być parkanem. Jeżeli się ma psa a nie sukę, pamiętać o tem trzeba, ażeby przed budą miał wbity kołek na jakie półtory stopy wystający z ziemi. Potrzebuje on go dla odlewania wody, w przeciwnym razie wstrzymuje się od urynowania aż go wypuszczą, co jest szkodliwem dla jego zdrowia. Wypuszczać go trzeba codziennie z ogrodzenia, jeżeli się go nie bierze na polowanie, musi się trochę wylatać. Na spacer bez strzelby nigdy go nie brać, strasznie go to bałamuci. W wielu miejscach, gdy nadchodzi wiosna, przywiązują psom klocki, ażeby w pole nie latały, dobre i to jest, lecz klocek uderzając o nogi psa, często mu je kaleczy.

Przystąpmy teraz do drugiej części mego zadania to

jest do nauki w polu. Jeżeli wyżeł ukończył edukacyę domową, wtedy wszystko łatwiej pójdzie. Natura, instynkt zwierzęcy i rasa prawie wszystko tutaj znaczą, ważnem jest, ażeby było dużo zwierzyny, a przedewszystkiem aby myśliwy dobrze strzelał. Kto źle strzela, rzadko kiedy będzie miał dobrego psa, jest to stary aksiomat, który każdemu powtarzać trzeba, kto lubi polowanie z wyżłem. Widziałem nieraz myśliwych z amatorstwa nie z powołania, którzy nabywali drogie psy medalowane i doskonale wydresowane, ciż sami mi potem mówili, że pies gałgan, że ich oszukano, ale nie pies był winien lecz myśliwy. Pointerowi trzeba pozwolić swobodnie latać po polu, choć się nawet oddali, to nic nie szkodzi, potrzebuje on tego, musi iść ciągle galopem a nie kłusem. Gdy myśliwy widzi, że pies wystawia, powinien zawołać „waruj“ i wolnym krokiem zbliżyć się do niego. Następuje wtedy scena podobna do tej, która się poprzednio w domu nieraz odbyła z miską do jedzenia. Myśliwy mówi „pójdź dalej“, pies się posuwa, jak idzie za prędko, trzeba zawołać znowu „waruj“ i tak dalej postępować, aż się ptak zerwie. Jeżeli strzał był celny i ptak zabity, pies idzie go aportować, przynosi do ręki i dostaje chleba ze słoniną. Przy kuropatwach dobrze jest psa oduczyć od rzucania się naprzód dla aportowania, często wtedy spłoszy inne kuropatwy, temu zaradzić można w następujący sposób. Jak się widzi, że pies stoi, przybliżyć się do niego wołając „waruj“ założyć smycz za obróżę i kazać komuś drugiemu psa prowadzić. W chwili zerwania się stada trzymający psa, powinien szarpnąć i zawołać „waruj“ a przekonawszy się, że więcej kuropatw nie ma, puścić go i kazać aportować zabitą zwierzynę. Ta manipulacya powtórzona kilkanaście razy zupełnie psa oduczy od rzucania się naprzód. Jeżeli jest kilka ptaków zabitych a pies jednego tylko znalazł, wtedy każe mu się szukać, jak w domu szukał schowanej czapki lub wojłoku. We wszystkiem okazuje się, jak wielką rolę odgrywa edukacya domowa. Pies na polowaniu powinien być bezwzględnie posłuszny, gdy się na niego zagwiżdże, powinien przyjść do nogi, choćby stał do kuropatw. Mam sukę, która w posłuszeństwie do wielkiej doszła doskonałości. Polowałem raz z jednym kolegą, któremu ciężko było chodzić; dojeżdżamy do pola kartofli, każę suce szukać podczas gdy sobie siedzimy wygodnie na bryczce. Wtem widzę na jakie 200 kroków, że suka stoi, zagwizdałem na nią dwa razy, suka się do nas wróciła. Zeszliśmy z bryczki, wolnym krokiem, poprzedzani przez sukę, doszliśmy do stada kuropatw i mój towarzysz zrobił dubletę. Gwizdawki używać zawsze trzeba tej samej, gdy się ma kilka wyżłów, to dla każdego wyżła powinna być osobna gwizdawka. Przed wyżłem zająca nie trzeba nigdy strzelać, choćby był przez innego myśliwego postrzelony. Młody pies z natury powinien gonić zająca, dopiero przez surowe skarcenie od tego się go odzwyczaja. W tym wypadku pogonienia za zającem, bić go nie trzeba mocno lecz długo, ażeby mu się znudziło, nigdy kijem lub kopać nogą, lecz zawsze prętem giętkim lub szpicrutą. Innym razem jak zasługuje na karę, uderzyć go trzeba tylko kilka razy lecz dobitnie. Wyżeł powinien chodzić za nogą, ilekroć razy mu się to każe i pod żadnym warunkiem nie powinien oddalać się od swego pana bez pozwolenia, choćby obok niego strzelano. Moja wyżlica na polowaniu z nagonką na kuropatwy, na krok odemnie nie odchodzi, dopiero za danym znakiem wyskakuje naprzód. Polując w kartoflach, myśliwy iść powinien wpoprzek zagonów, wyciekające bruzdą kuropatwy bardzo młodego wyżła bałamucą.

Pożywienie wyżła zalecam jak najprostsze, a mianowicie osypkę owsianą i nóżki baranie, mleko, kartofle, nigdy za tłusto. Niedobrze młodemu psu dawać gotowane mięso, łatwo bowiem dostaje od tego nosacizny. Znam leśnego starej daty, dosyć dobrze wychowującego wyżły, który je żywi surowem końskiem mięsem, psy dobrze wyglądają i dobry mają wiatr, lecz śmierdzą ścierwem. Polował raz z tym strzelcem nieboszczyk hr. Henryk Wodzicki, a pies strzelca strasznie chudo wyglądał. „Cóż ty mu jeść dajesz? zapytał się strzelca. „Proszę Jaśnie Pana jak on głodny, to idzie na ustęp i tam się nażre“ odpowiedział tenże. Oryginalne to w swoim rodzaju pożywienie, lecz nie zawsze psu na dobre wyjdzie.

Dla dopełnienia mego zadania wspomnę jeszcze pobieżnie o chorobach wyżłów i o sposobach leczenia tychże. Jedną z pierwszych chorób, której podlegają młode psy, jest tak zwana angielska choroba, którą usunąć można dodając psu do jadła trochę wapna. Nogi krzywe prędko mu się od wapna wyprostują. Drugą chorobą, którą prawie wszystkie psy przebyć muszą, jest nosacizna. Nie będę się tu rozpisywał nad rozmaitemi lekarstwami w tej chorobie używanemi, są one wszystkim myśliwym znane. Dobre są pigułki Hostońskiego, dobry emetyk z siarką, dobry plaster z szewskiej smoły na kości wiatrowej, lecz ostatecznie z mego doświadczenia przekonałem się, że najradykalniejszem lekarstwem jest przekłócie skóry na karku rozpalonem żelazem. Jak się tylko pierwsze symptomata nosacizny pokażą, trzeba wziąć kawałek żelaza, najlepiej do tego użyć gwoździa średniej grubości, rozpalić prawie do białego, pociągnąć w górę skórę na karku i przekłuć ją na wylot. Uważać trzeba, żeby dość nisko przekłuć tak, aby po spuszczeniu skóry, otwory powstałe przez przekłucie były daleko od siebie. Jest to rodzaj fontanelli. Jeżeli jednorazowe przekłucie nie poskutkuje, trzeba je powtórzyć. W chorobach skórnych leczę zawsze rozpuszczonym kwasem karbolowym. Psy, które dużo chodziły po błotach, dostają często reumatyzmu w nogach, najlepiej wtedy nogi wycierać *restitutions-fluidem*. Najstraszniejsza choroba, dotychczas uważana za nieuleczalną jest wścieklizna, cała nadzieja, że doktor Pasteur od niej nas uwolni. Przed kilkunastu laty mieszkał na Litwie w powiecie Nowogrodzkim niejaki pan Truskowski, posiadał on sekret leczenia wścieklizny i zaiste znakomite bywały jego kuracye. Sprzedał swoją tajemnicę jednemu z moich znajomych za sumę podobno tysiąca rubli i ten ją podał do publicznej wiadomości. Jest to roślina, która się wszędzie znajduje i rzadką nie jest, nazywa się: jastrzębiec włochaty, podług Lineusza *hieracium pilosella*. Sam widziałem kilka razy zbawienne skutki tej rośliny na psach pogryzionych przez psy wściekłe. Zaciekawiony tem doświadczeniem, napisałem do pana Pasteura chcąc wiedzieć jego opinię Wkrótce po wysłaniu mego listu otrzymałem odpowiedź od uczonego francuza. Z góry oznajmia mi, że nie wierzy w skuteczność mej rośliny, powiada, że dopiero po zrobieniu kilku tysięcy skutecznych doświadczeń możnaby powiedzieć, że lekarstwo jest dobre. Wiele jest psów, które mimo pogryzienia przez psy wściekłe nie podlegają tej strasznej chorobie. Pragnie on jednak robić doświadczenia i prosi mnie, żebym mu roślinę przysłał. Skoro psy, którym on wściekliznę zaszczepi, po użyciu lekarstwa się nie wścieką, wtedy okaże się ono sku-

tecznem. Rezultat doświadczeń pana Pasteura był następujący: psy, którym on wściekliznę zaszczepił, wściekły się mimo lekarstwa, te zaś, które były pokąsane przez psy wściekłe, pozostały zdrowe. Z tego wynika, że jastrzębiec jako stanowczy środek przeciwko wściekliźnie uważany być nie może. Ponieważ niejeden z czytelników „Łowca“ będzie pragnął sam robić doświadczenia z jastrzębcem, podaję sposób, w jaki postępować należy. Radzę jednak doświadczenie to robić na takim psie, którego żal zabijać, następnie trzeba go mieć w ciągłej obserwacyi najmniej przez dni 60. Jastrzębiec zbiera się w Maju lub w jesieni, zawsze wtedy, kiedy kwitnie. Kwiat ma żółty, pełny, na dosyć długiej osadzony łodydze. Zrywa się wszystko, kwiat, łodygę, korzeń i liście, wybierać trzeba taki, u którego z korzenia tylko jeden kwiat wychodzi. Następnie wszystko się suszy w cieniu na papierze gładkim nie wsiąkającym, tłucze potem na proszek i lekarstwo gotowe. Psa, który został pogryziony, zamyka się o godzinie dwunastej w południe, przed zachodem słońca dostaje on łyżkę stołową proszku z jastrzębca. Najlepiej dodać do proszku trochę mąki, wody, zrobić gałkę i posmarować ją tłuszczem. Drugą taką gałkę pies dostaje przed wschodem słońca. Od chwili kiedy go się zamknęło, to jest od 12tej w południe aż nazajutrz do godziny 12tej w południe, nie powinien nic jeść ani też pić. Oto jest cała kuracya, bardzobym pragnął, żeby się znalazło więcej osób, któreby raczyły wypróbować skuteczność tej rośliny. Na tem kończę tych słów kilka o nauce wyżłów, dużoby jeszcze można powiedzieć o tym przyjacielu i towarzyszu myśliwego, szkoda, że on sam mówić nie może, ileżby nas mądrych i ciekawych rzeczy nauczył.

# MYŚLIWSTWO W SYBERYI

## Wspomnienia z tajgi Jenisejskiej.

PRZEZ

Dra JANA JODŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Gdy kaczki już zaczynają latać, chętnie przenoszą się z miejsca wylęgu na bliskie sąsiednie jeziorka lub rzeczki. Dobrzy i poczciwi mieszkańcy okolicy, myśliwi naturalnie, pragnąc młodym i słabym jeszcze w locie kaczkom ułatwić przeloty, wycinają w tajdze dość spore drogi, od jednego jeziorka do drugiego. Tymi duktami rodzice wodzą młode pokolenie, kontenci niezawodnie, że nadobne córeczki i dziarscy synkowie nie potrzebują wznosząc się po nad wysokość drzew tajgi, forsować niewprawnych jeszcze lotów. Po paru dniach, gdy myśliwi wyśledzą, że droga łatwiejsza jest już w użyciu, rozpinają sieć w poprzek wycinki, z cienkich, bielonych bardzo mocnych konopnych nitek zrobioną, na parę metrów wysoką i przy przelocie łowią całe rodziny pulchnych i tłuściutkich pierzastych podróżników. Gęsto lecące stado, gdy pierwsza kaczka uderzy w sieć, zostaje nią przykryte, wówczas wybiegają z ukrycia łowcy, wyjmują zdobycz i na nowo rozpinają sieci. Czasem i parę stadek w jeden dzień łowią. Sposób ten, szczególnie w okolicy Berezowa (gubernia Tobolska) używany. Sybiracy także strzelali do kaczek, lecz rzadko w lot. Cierpliwie wyczekują, aż się kilka sztuk zbliży, by na strzał więcej padło, jeśli z gwintówki, to naturalnie do pojedyńczej. Przypominam sobie kilkakrotnie widziane wypadki z gwintówką. Krzyżówka płynie wspaniale, na jakie 30 kroków od zaczajonego w zarosłym brzegu myśliwca, ten mierzy do niej długo, długo, nareszcie słyszę, czyk — pu — pu, na pierwszy zgrzyt skałki o stal kaczka drgnęła, posunęła się nieco więcej na zwierciadle wody i wyszła z pod kuli, obejrzawszy się dokoła uspokojona, oczekuje drugiej kulki, a czasem gdy i ta nie trafia — i trzeciej.

Tunguzi z łuku biją kaczki na wodzie, czysto odcinając strzałą łepek. Muszę tu przytoczyć zdarzenie, dające miarę celności rzutu strzały. W roku 1866. wysłany byłem z pieniędzmi na wypłatę robotników, przy końcu operacyi kopania złota, do północnych i południowych kopalń, należących do mego chlebodawcy pana Daniłowa. Podróż odbywałem konno, droga wynosiła 500 wiorst. Ponieważ wysyłka późno nastąpiła, bo do terminu pozostały tylko cztery dni a przyrzekłem, że stanę na czas, pędziłem dniem i nocą, zmieniając konie na stacyach pocztowych i biorąc przewodników od jednej do drugiej. Stanąwszy na stacyi „Czornaja riczka“ przy ujściu rzeki Czornej do rzeki Pit, zastałem tam kilkunastu Tunguzów. Gdy mi konia siodłano, zbliżył się do mnie stary Tunguz, jak się później dowiedziałem, ich kniaziok (wódz), a widząc, że mam przewieszoną przez plecy dubeltówkę, namówił, by pójść na kaczki na bliskie, bo o jakie 150 kroków, odległe jeziorko, pomimo znużenia przemogła żyłka myśliwska, poszedłem i udało mi się zrobić dublet do lecących kaczek, czem Tunguz był bardzo zdziwiony. Widząc, że on z łukiem i strzałami, prosiłem, by strzelił; jakby na zawołanie wypływa kaczka z zarosłego brzegu, ten mierzy i ścina sam łebek. Następnie rozochocony memi pochwałami, wyrzuca tamar w górę i gdy tenże spada, przecina pręt w połowie, drugą z ostrym grotem wyrzuconą strzałą. W parę miesięcy później, gdy już byłem w kopalniach na stałe, poznajomiłem się bliżej z owym kniazikiem i obdarowany zostałem przez niego tymsamym łukiem i strzałami, których wówczas używał i które do dziś wiszą w mej maleńkiej myśliwskiej i pamiątkowej zbrojowni.

Wyczytawszy w „Łowcu“ w nrze 3. z Marca b. r. w korespondencyi z Suwałk o pojmanym żywcem ptaku, przekonałem się, że opis szczegółowy tegoż, zgadza się z istotą ptaków spotykanych przezemnie bardzo często na północy. Jest to (jak przypisek szanownej Redakcyi upewnia) Tracz nurogęś (gagara). Ostatnią swą nazwę syberyjską zawdzięcza donośnemu wygłaszaniu swego nazwiska. Szybując w przestworze w wysokości, z której przedstawia się wielkości jaskółki a nawet mniejszy, wydaje głos „gaa ga“ doskonale na ziemi słyszany. Upierzenie dokładnie

w korespondencyi opisane, dodam tylko, iż kolor piersi i podbrzusza białe, często z odblasku pomarańczowego przechodzi w miedziany ślicznie szklący. Co do osady nóg, to te więcej jak u gęsi są ku tyłowi posunięte tak, że chód ich jest utrudniony i więcej do bezlotków podobny, ztąd też i trudność w poderwaniu się z ziemi, musi podbiegnąć zanim się wzniesie. W czasie przelotu często łowione lub zabijane bywają nawet kijami. Polują na nie dla skórek, mięso bowiem bardzo niesmaczne, twarde, nadto tranem cuchnące, na pożywienie rzadko używane. Gnieżdżą się przeważnie w tundrach i głęboko na północ posuniętych jeziorkach i trzęsawiskach tajożnych.

Pisząc tych słów kilka o tym pięknym ptaku, przedstawiła mi się w pamięci jedna z pierwszych wypraw na kaczki w początku mego pobytu na północy, przedsięwzięta na drugi brzeg Jenisieja, celem zaopatrzenia opróżnionej spiżarni. Wylądowawszy, udałem się brzegiem do znanego mi już, niedaleko leżącego jeziorka, na które pod wieczór zlatywały się masami kaczki do niezliczonej ilości drobnych rybek, znajdujących się tam obficiej niż gdzieindziej, zapewne z powodu łatwiejszego tarła, bowiem brzegi dobrze były zarosłe, a jeziorko maleńką latem strugą, łączyło się z Jenisiejem, która to struga zwiększała się znacznie podczas wzbierania olbrzyma rzeki. Mając skąpo drogo kosztującej amunicyi, postanowiłem wejść w zarosły brzeg i tam w pobliżu zwierciadła wyczekiwać na stado, by więcej zdobyczy na strzał otrzymać. Przebrnąłem trzciną i sitowiem, przy końcu zarośla obrałem myśliwsko-strategiczne obserwatoryum w kliniku, wsuwającym się w czystą powierzchnię jeziorka. Woda dochodziła mi powyżej kolan, a stojąc dłużej nogi grzęzły coraz głębiej w błotniste dno. Ponieważ nic się jeszcze nie pokazało, a stać w wodzie nie było bardzo wygodnie, tem bardziej, że niecne komary i moszka, zagustowawszy w mem towarzystwie nieprzeliczonymi rojami mnie otaczały i zawzięcie dokuczały, powziąłem zamiar utworzenia sobie wygodniejszej pozycyi. Zarzuciwszy broń na plecy, wyciąłem nożem sporo sitowia w okolicy, nie w obranym punkcie zasadzki i powiązawszy je w snopy, zrobiłem wygodne siedzenie, co pozwoliło mi położywszy na kolanach strzelbę zwinąć tutkę z gazetowego papieru, nabić szanowną machorką utartą na dłoni, z urwanych z paposzki liści i zapalić, by dusząc się sam jej nader mile woniejącym dymkiem, odpędzić nieznośnie dokuczających natrętnych towarzyszów. Jakoś to poskutkowało przynajmniej swobodnie odetchnąć mogłem, nie obawiając się wciągnąć wraz z prądem powietrza i kilku moszek, które silnie drażnią krtań w takim wypadku. Wypaliwszy zaimprowizowaną fajeczkę, nagle usłyszałem nad sobą w powietrzu: gaa — gaa po chwili nieco zbliżone, podnoszę głowę i widzę coś wielkiego krążącego nad jeziorkiem, coraz niżej się spuszczającego. Utonąłem oczami w tej nieznanej mi dotąd zwierzynie, śledząc jej lot, nareszcie z szumem i krzykiem zapadła na sto kroków mniej więcej odemnie i wspaniale lawirując rozglądała się dokoła. Nie spuszczałem jej z oka, po kilku zręcznych bardzo ewolucyach — o radości! powoli posuwa się ku mnie, podejmuję mego szturmaka drutem powiązanego, przypomniawszy sobie że to skałkówka, ostrożnie podsypuję proch na panewkę, paznokciem oczyszczam skałkę i gotów zsunąwszy się z improwizowanego fotelu wyczekuję zbliżenia się ptaka. Płynie ku mnie wprawdzie, lecz nader powoli, niecierpliwość moją potęgują moszki i komary, choć prawdę powiedziawszy te ich ukąszenia, gdym patrzył na gagarę, nie były tak dotkliwe, a nawet nie kusiłem się zgarniać z twarzy i rąk owadów, by nie sprawić szelestu. Wreszcie zbliża się na kroków mniej więcej sześćdziesiąt, mierzę i ściągam, dym z wystrzału i panewki na chwilę nie pozwalał dopatrzeć, gdy się rozwiał, widzę, iż upragniona moja zdobycz wachluje jednym lotem i kręci się na miejscu. Pospieszyłem na brzeg, zrzuciłem odzienie i dalej po nią do wody, zmieniłem rolę myśliwego na aportera wodołaza. Dopływam do zabitego ptaka, porywam go lewą ręką, podnoszę by obejrzeć, robiąc prawą ruchy, by utrzymać się na powierzchni, nogi przytem toną, nagle czuję, że wodorosty oplatają mi prawą nogę, biorę więc zdobycz w zęby, wykonuję silny ruch rękami, by oswobodzić nogę, lecz na próżno, wodorosty silniej jeszcze ściskają. Przykre wrażenie! nadzieja pozostania na wieki w jeziorku, gdyż nie mając towarzysza nie mogłem liczyć na pomoc. Daję więc nurka jak najostrożniej, unosząc wolną nogę o ile mogę do góry i ręką powoli rozrywam opasujące łodygi. Na szczęście powiodła mi się ta manipulacya i z prawdziwą radością pomknąłem szybkim tempem do brzegu. Powróciwszy do wsi, dowiedziałem się, że to gagara i doznałem jednocześnie przykrego rozczarowania, bo spiżarka moja nie odniosła żadnej z gagary korzyści.

Przed trzema laty w okolicy Tyńca nad Wisłą jeden z mych znajomych zabił także gagarę, lecz nieco mniejszą, ale z równie pięknem upierzeniem. Można się widocznie i u nas z niemi spotykać, lecz wypadkowo.

Na tem kończę opis pierzastych ofiar łowiectwa w Syberyi przechodząc do rybołowstwa.

R y b o ł o w s t w o. Olbrzymie rzeki Syberyi, jak Irtysz, Ob, Jenisiej, Lena, Amur, obiedwie Tunguzki (Angary) z wpadającemi do nich mniejszemi rzekami, mieszczą w swych wodach mnóstwo ryb najrozmaitszych gatunków. Z pomiędzy tych wspomnę tylko więcej mi znane poławiające się w Jenisieju, nad którym mieszkałem.

J e s i o t r właściwy (oseter) dochodzi wielkich rozmiarów i poważnej wagi. Podczas mego pobytu we wsi Sawina, złowiliśmy ważącego 7 pudów, (140 kilogramów), bywają jeszcze większe. Chrząstka idąca wzdłuż szkieletu, używana jako przyprawa do sławnych pierogów z rybą, zwie się w i a z i g a. Z jesiotra najlepszy kawior (ikra), pęcherz daje klej rybi, karuk.

J e s i o t r s t e r l e t bardzo ceniony przez smakoszów, szczególniej zupa (sterlaża ucha), jedzą również na świeżo gotowane lub w pierogu, także lekko solone, zmarznięte i na cienkie wióreczki strugane (stroganina) z octem i oliwą, to ostatnie jest rzeczywiście smaczne. Kawior z sterletu biały t. j. żółty, lekko solony, znajduje wielu amatorów.

J. W y ż, (b i e l u g a) poławia się niżej Turchańska blisko ujścia Jenisieja, bywa ogromnych rozmiarów do 25 stóp długości. Łowiony głównie dla tłuszczu, kawior z bielugi czarny, daleko mniej smaczny, jak z właściwego jesiotra, klej za to lepszy.

N i e l m a, nie wiem jak u nas nazwana, należy o ile mi się zdaje, do łososiowatych, mięso wyborne, szczególnie w pierogu pieczone także i stroganina. Dochodzi do paru stóp wielkości.

K a r p i k a r a ś tak samo nazywane po rosyjsku często spotykane.

L i n ó w wielkich nie widziałem.

L e s z c z, p ł o c i c a (płotwa), j a ż, k i e ł b (pyskar),

tych wielka obfitość, także okoń, jazgarz, jersz, miętus (nalim) świeży, marynowany i wędzony bardzy smaczny.

Moksun solony zastępuje śledzie w powszechnym użytku, polskiej jego nazwy nie znam, należy do ryb białą łuską pokrytych, podobny do płoci tylko szerszy nieco.

Tugun. Przy płytkich a piasczystych brzegach Jenisieju, tudzież przy brzegach wysepek, poławiają się w wielkiej obfitości. Tuguny, zupełnie podobne co do kształtu i wielkości do sardynek, bardzo delikatne w smaku, suszą je na słońcu i w piecach, tłuką na proszek a z takowego bardzo smaczną gotują zupę.

Szczupak (szczuka) bez wartości, dla tego, że nie smaczny, a także z powodu zębów. Sybiracy nie jedzą go, zowiąc „poganym“. Gdym pomagał łowić, oddawano mi wszystkie szczupaki, z których wybierając średnie przyprawiałem po naszemu o ile umiałem, jednak zawsze były niesmaczne.

Są tam jeszcze śledziki (sielotki), poławiane na północy blisko ujścia Jenisieja około Tołstego nosa. Podobne do sielawek Augustowskich, te widziałem tylko w handlu wędzone

Opisawszy pobieżnie część tylko gatunków ryb, które przypomniałem sobie, przystępuję do sposobów łowienia.

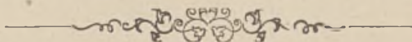
Tunguzi i Ostiacy używają do tego najczęściej ości, jestto rodzaj wielkiego, szerokiego o 6ciu długich zębach widelca, osadzonego na odpowiedniej do głębokości wody tyczce. Płynąc na swej łodzi z brzozowej kory, podczas dnia słonecznego, w niektórych rzekach może na sążeń głęboko widzieć i rachować kamienie na dnie leżące, widzi więc wprawne oko Tunguza i rybę, a gdy ta jest odpowiedniej dlań wielkości, rzuca ość i wydobywa zdobycz prawie zawsze, tak samo nocą z ogniem („łuczat rybu“).

Tunguzi budują znakomite łódki, maleńkie, lekkie tak, że mogą z łatwością nawet bez pomocy drugiego, przenosić ją z miejsca na miejsce dosyć oddalone. Lecz niestety tylko Tunguz w niej pływać może. Żebra z brzozy tak jak i cały szkielet, najczęściej z jednego kawałka t. j. z jednego pnia, posiadającego odpowiednie gałęzie na żebra. Pień, obrobiony do potrzebnej grubości, zaginają, nadają pożądaną formę. Na pozostawione gałęzie żebra, w odpowiedniej długości, nakładają grubsze trochę od tych żeber drążki brzozowe, stanowiące borty łódki, te drążki za pomocą mocnych sznurków ściągają, nadając należytą wypukłość w środku a zwężenie w obu końcach, t. j. nosie i tyle (kormie) łodzi. Żebra wyginają za pomocą poprzecznie wstawionych umocowanych sznurami do dna i żeber, szerokich a dość cienkich również brzozowych lub modrzewiowych wstawek, przez co łódka, nabiera odpowiednich szerszych na dnie kształtów. Przygotowawszy tym sposobem szkielet pokrywają go korą brzozową w kilkoro złożoną, żywicą sklejoną, zszytą skórą lub żyłami rena, lub też korą z młodszej brzozy, zlewają smołą lub żywicą. Czasem przymocowują spodem łódki cienką i wąską deseczkę modrzewiową, wygiętą od nosa do tyłu na zewnątrz, by osłonić dno od ostrych kamyków. Lecz to tylko wtedy, gdy Tunguz łowi ryby na płytkich rzekach o dnie kamienistem.

Wiosła Tunguzi najczęściej używają małego, lekkiego, na obu końcach opatrzonego owalnemi łopatkami, czasem i zwykły drążek dobrze im służy. Płyną zwykle siedząc na dnie łodzi z nogami wyciągniętemi. Widziałem nawet podczas niewielkiej burzy, jak zręcznie przecinali spore na Jenisieju bałwany. Próbowałem kilka razy siadać i pomimo, że na zwykłej choć małej łodzi, nabyłem pewnej wprawy, z tunguzkiej zawsze prawie dawałem nurka, nawet przy najspokojniejszej wodzie. Tunguzi nie pozwalają siadać do łodzi w butach, tylko boso lub w ontajach, lękając się, by okutymi obcasami nie pokaleczyć pokrycia łódki. Kora brzozowa tam jest daleko grubsza, silniejsza, bardzo rzadko spotyka się konewki w użyciu, najczęściej „tujasy“ t. j. naczynia spore, na kilka a czasem i kilkanaście garncy, z kory brzozowej, doskonale pełniące służbę konewek. Kształt przedstawia walec. Kora tak jak ją z drzewa zdejmą, dłuższą z cieńszego kawałka zdjętą, wsuwają w obszerniejszy krótszy, a rozparzywszy w wodzie gorącej, wywijają na zewnątrz, czem ściągają w obu końcach cylinder. W koniec jeden wstawiają denko a do drugiego przystosowuje się pokrywka z uchem, tak silnie dopasowana, że napełniwszy tujas wodą, można nieść za ucho przykrywki. W takich naczyniach soli się ryba i kawior (ikra). Pomimo użyteczności tujasów, porównanie z nim jest tam nie arcyprzyjemne i pochlebne, bo gdy kto z miejscowych popełni niedorzeczność lub uchybi przepisom przyjętej tam etykiety, wreszcie figurę ma niezgrabną, mówią o nim „Oj tujas ty — tujas“, co niby odpowiada naszemu przysłowiu o stołowych nogach. Wtrąciłem w me opowiadanie opis tujasa, by więcej uwydatnić siłę kory brzozowej, bo nawet parcie kilku i więcej garncy płynu wytrzymuje dostatecznie i jest bardzo trwała. Tunguzi a nawet i inni mieszkańcy łowiąc ryby, pewne gatunki jak tuguny, odgryzłszy głowę i wyrzuciwszy wnętrzności, prawie jeszcze żywe zjadają. To widziałem na własne oczy. Nie wiem czy i dziś jeszcze posilają się w ten sposób, przy tej dość utrudzającej pracy; może już ten przysmak wyszedł z użycia jak i tatuowanie z mody, w czasie bowiem mego tam pobytu widziałem często tunguzów tatuowanych, lecz starszych wiekiem, młodzież nie przystawała na to bolesne upiększenie lica.

Pierwszy raz, gdym widział z zakrętu rzeki wymykającą z pod skały łódkę, a w niej Tunguza z podniesioną do góry ostrogą, z rozczochraną głową, czarnego od brudu i opalenia, wśród brzegów zarosłych tajożnych, pełnych dzikości; działało to silnie na wyobraźnię moją, przedstawił mi się jakby parodya Neptuna lub jego podkomendnego, zwłaszcza gdy zanurzywszy nagle ość (ostrogę) do wody i dobywszy rybkę, ze smakiem ją konsumował. Pełen wstrętu, przejęty jednakże ciekawością ujrzenia z bliska tego przedstawiciela niby rodzaju ludzkiego, pozostałem na miejscu i przyglądałem się czas jakiś rzeczywiście bardzo zręcznym jego ewolucyom na wodzie, w walce z silnym prądem górskiej rzeki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



# KORESPONDENCYE.

Myczkowce 4. Maja 1886.

Najnowszym wynalazkiem w broni myśliwskiej jest Mitraileza Pipera z Liege, jest to sztuciec o jednej grubej stalowej lufie, w której jak w magazynie u rewolwerów, jest wywierconych 7 otworów, tworzących 7 luf ciągnionych, kaliber ich wielkości ziarnka śrótu Nr. 00, a strzela się nabojami metalowymi, kulami stożkowatemi. Ma on jeden gruby kurek, po którego uderzeniu wypalają wszystkie lufy. Myśl nie jest złą, upewnia Piper, że do 150 kroków wszystkie kule trafiają w czternastocalowy kwadrat? Byłaby to broń dobra do strzelania dropi, gęsi, lisów myszkujących w polu, kaczek, rogaczy i t. d. Z tej broni nie strzelałem, oglądając ją z uwagą, przyszedłem do wniosku, że kule są za lekkie, aby tak daleko skutecznie działać mogły i że przy tak małym kalibrze w 24 cali długiej lufie prawie niepodobnem jest wyrobienie z należytą dokładnością ciągów, które tu są najważniejszym czynnikiem. Expressy wypierają z używania dawniejsze sztućce, i inaczej być nie może, gdyż strzelają celnie bez elewacyj na 30 i na 150 kroków, przytem skutek strzału, byle kulami pękającemi lub expansywnemi, w których próżnia zatkana kapslą lub woskiem, zadziwiający. Kula taka z uderzeniem traci formę podłużną pierwotną i w szalonym pędzie koziołkuje w zwierzu, targając na kawałki co natrafi. Przy kulach expansywnych zatkanie woskiem lepsze od zatkania miedzianą kapslą, działanie pełnej kuli jest o wiele słabsze, gdyż często przeszywa zwierza nie koziołkując. Obecnie wyrabiają Expressy na grubego zwierza z większym kalibrem, widziałem kaliber 575 działanie takiej kuli jest piorunujące, taka kula wystarczy i na lwa, waga sztućca znośna, gdyż jest krótki i nie ma tak grubych luf, jak przy pierwszych Expressach, co się okazało zbytecznem. Praktyka nas poucza, że obecnie przy expressach mniej uchodzi zwierzyny postrzelonej jak dawniej, i tak, tego roku w Poturzycy na 42 dzików zabitych uszły dwa, a w Staremsiole na 14 w jednym dniu zabitych dzików nie uszedł ani jeden postrzelony.

Najwięcej rozpowszechnionym i ulepszonym systemem broni jest obecnie system Lankastra. Najlepszą broń wyrabiają firmy Springers Erben w Wiedniu, Lebeda, Novotny w Pradze, broń ta nie ustępuje angielskiej, ale ma tę wadę, że jest droga, wyborowa strzelba śrótowa kosztuje od 250 do 400 zł., cenę strzelby podnoszą lufy angielskie lub francuskie, jakich zwykle do tych strzelb używają i dokładność wyrobu, co ma swą wartość szczególniej przy odtylcówkach, które mierności nie znoszą, strzelba odtylcowa musi być odrobiona doskonale, mierna robota nie ma wartości. Ulepszono równie tutki nabojowe i przybitki, tutki austryackie nie ustępują zagranicznym, a są o wiele tańsze, dawanie do tutek większych kapsli jak do nabojów expressowych, zmniejszyło ilość strzałów zawodzących. Tutki Mandla z Wiednia z dużą kapslą, zapalające proch pięcioma dziurkami, są wyśmienite, niemniej tutki firmy Sellier & Bellot są doskonałym wyrobem, a nawet brunatne sekunda są wcale dobre. Do ulepszenia strzału śrótowego przyczyniły się znacznie nowe przybitki prochu, mam przed sobą następujące: 1. Treibspiegel tekturowy. 2. Non plus ultra gruby. 3. Non plus ultra cieńki, których idzie do naboju na proch dwie sztuki. 4. Treibspiegel filcowy czerwony tłuszczony. 5. Przewodnik śrótu a zarazem przybitek na proch (Nerlicha w Bielsku przyczyniający się wiele tak do ostrości jak i gęstości strzału). 6. Przybitek filcowy szary gruby. 7. Przybitek biały z czerwonymi tłuszczónymi krajami angielski. 8. Przybitek filcowy biały naklejony po obu stronach ceratą. 9. Przybitek filcowy szary pokryty z obu stron papierem. 10. Przybitek z grubej wełny czarny. 11. Przybitek uchatius Nerlicha. 12. Dziurawe przybitki tekturowe pod filc i kilka innych powszechnie znanych. Dobierając ze znajomością rzeczy przybitki do strzelby i śrótu, można za pomocą tychże otrzymać strzał gęsty i dobry, zwrócić jednak muszę tutaj uwagę, że twarde przybitki do choke borów używać nie można, choke bore dają gęsty strzał śrótem drobnym do Nr. 4. najdalej, grubszy śrót rozrzuca, a nawet przy silnym naboju i przybiciu lufa się uszkodzić może, lufa nie choke bore daje, używszy przzowodnika śrótu albo treibspiegla czerwonego filcowego, nawet grubym śrótem, gęsty i ostry strzał. Do luf wystrzelanych dobrze użyć nabojów blaszanych Kinocha z przybitkiem filcowym o jeden kaliber większym.

Wiele wrzawy narobiły lufy ze stali Pipera, w praktyce strzelały do celu dobrze, ale do zwierza z twardem życiem były złe, bo trudno było na cokolwiek dalszą odległość zabić lisa na miejscu, twardość lufy niedozwalała prężności do silnego strzału niezbędnej, obecnie wyrabia Piper strzelby z lufami dziwirowemi, które powinne być lepsze, odrobienie strzelby jest dobre i równa się robocie ręcznej, chociaż jest maszynowe.

Jakbym słyszał, po przeczytaniu tej korespondencyi, zapyta każdy, kto czytał moje dawniejsze o Tesznerówkach, „a co twoje Teschnerki?“ Na to odpowiadam: Dotychczas żadna Lankastrówka nie pobiła strzałami Teschnerówki. Lada dzień oczekuję lankastrówki od Springera, a mam dobrą Nowotnego obydwie kal. Nr. 12. i sam mocno jestem ciekawy wyniku próby z Teschnerówkami kal. Nr. 1., którą zrobić zamierzam. Strzelby moje mają kaliber równy, naboje będę robił zupełnie jednakowe, będę używał równych przybitków i wtedy się zapewnię, która broń lepiej strzela, mam to przekonanie, że obadwa systemy mają swoje zalety, których lekceważyć nie można, a wprawny myśliwy zastosuje broń do okoliczności i użyje tej, która w danym razie jest praktyczniejsza.

*Teofil Żurowski.*

---

Pantalowice 14. Maja.

Zwierzyna jako jedno z bogactw kraju. Nikt nie zaprzeczy, że nasz „Łowiec“ jest bardzo pożytecznem, bardzo mile widzianem i czytanem pismem. Ja z upragnieniem oczekuję zawsze pojawienia się każdego numeru i z prawdziwą przyjemnością odczytuję go, jak to mówią od deski do deski. Wiele już nie jeden z nas choćby starszych myśliwych dowiedział się tam nowego, zajmującego, pouczającego nawet. Czy jednak szanowny Redaktor i łaskawi korespondenci wyczerpali lub dotknęli już wszystkiego, co organ łowiectwa objąć powinien? Powiedzmy otwarcie, że nie, a powiedzmy właśnie i jedynie dla tego, że nam sprawy łowiectwa nadzwyczaj leżą na sercu, że radzibyśmy, by każdy ile może cegiełek do tego gmachu dodawał, bo bardzo daleko nam jeszcze do ukończenia i zastanowienia tej budowy. Czybyśmy n. p. przez ten nasz organ nie powinni słyszeć i wiedzieć, co też robi krajowe Towarzystwo myśliwskie i jego Wydział? Czy nie należałoby się nam czytać, choćby w każdym trzecim numerze, protokoły z posiedzeń tego Wydziału, a raz na rok dowiedzieć się o Zgromadzeniu ogólnem, o stanie funduszów i toku spraw Towarzystwa? Ale temu zapewne nie winna

Redakcya „Łowca“. Skoro więc nie możemy, my członkowie krajowego Towarzystwa myśliwskiego, porozumieć się osobiście i zdań naszych wymieniać na ogólnych zebraniach; to do pióra uciec się muszę, by dotknąć bardzo ważnego a zaniedbanego szczegółu z licznych spraw łowiectwa. Zwierzyna powinna i może być jednem ze źródeł dochodów naszych, a conajmniej pokrywać koszta, jakie w kraju na rozwój łowiectwa łożymy. Do tego dojść nie trudno, lecz i w tem nie pojedyńczo ale zbiorowo działać i pomagać sobie musimy. Dawnymi czasy przy polowaniach z pieskami, sarna była rzadkością, o sprzedaniu szaraka nikt nie myślał, ale też koszta polowania były bardzo małe, utrzymanie zaś zwierzostanu prawie żadne. Dzisiaj jedno i drugie znacznie wzrosły i bez wydatków nikt zwierzyny posiadać a zatem i bić jej nie będzie; dziś czynsze dzierżawne polowań gminnych rosną, za dozór ich osobno płacić trzeba, żywienie zwierzyny jest niezbędne, a bez nagonki nikt nie zapoluje. Coraz powiększający się zwierzostan i racyonalna dobrze zorganizowana sprzedaż zwierzyny, może oraz powinna na teraz przeważnie nam te koszta opłacać, a wkrótce może zupełnie je pokrywać. Polując w Morawii, przekonałem się, że tam handlarz zwierzyną przybywa na miejsce do właściciela, umawia się o cenę, składa kaucyę i odbiera zwierzynę w terminach z góry oznaczonych, że się u nas tak nie dzieje, że jesteśmy i na tem polu wyzyskiwani, wiemy wszyscy. Podnoszę więc tutaj sprawę sprzedaży zwierzyny jako konieczną do uorganizowania, a przytem podaję kilka faktów odnośnych z własnego a świeżego doświadczenia. Do niedawna towarzysze dzierżawiący polowanie w Lisowicach, rozbierali pomiędzy sobą wszystką zwierzynę po umówionych regulaminem cenach; w ostatnim roku czy to z powodu, że trofea nasze były obfitsze, czy też, że każdy ma u siebie więcej rogaczy i zajęcy, pozostała nam zwyżka, którą rozsprzedać było mojem niezbyt przyjemnem zadaniem. W jesieni zatem miałem do zbycia dwie młode tłuste samorki, ważące razem 134 kilo i trzy piękne duże (małych w jesieni nie strzelamy) rogacze. Za poradą jednego z towarzyszy odesłałem tych pięć sztuk do Towarzystwa spożywczego we Lwowie, które po czterech tygodniach nadesłało mi 35 zł. 39 ct. (!) wraz z rachunkiem, niejednego zadziwić mogącym, a wykazującym, że kilo dzika sprzedano po $17^6/_{10}$ ct. (netto $12^7/_{10}$ ct.) a kilo rogacza po 38 ct. (netto $30^3/_{10}$ ct.) we Lwowie. Za dzika zatem dostałem 9 zł. $16^1/_2$ ct., za rogacza zaś 6 zł. 11 ct., a to w jesieni, gdy niema zbytku zwierzyny na targowicy. *Sapienti sat!* Po zimowych naszych łowach pozostał mi dzik ważący 63 kilo i trzydzieści rogaczy, a wraz z nimi kłopot wynalezienia źródła choćby średnio korzystnego zbytu, bo sparzony na Tow. spożywczem, nie mogłem się tam powtórnie udawać. Tak więc jak swoim do Lwowa, wysłałem tę zwierzynę *bona fide* do Wiednia pomiędzy obcych, a rezultat był następujący. Pan Jan Pammer zapłacił mi po strąceniu wszelkich kosztów za dzika 15 zł. 34 ct., za większe rogacze po 11 zł. a za mniejsze po 5 zł. netto. Kilo dzika liczył po 30 ct. rogacze większe po 65 ct., mniejsze po 50 ct. Pan Leopold Härring (Landstrasse Detailmarkthalle) otrzymawszy odemnie 12 rogaczy, sprzedał mi kilo po 80 ct. i uiścił za każdego rogacza po 13 zł. 50 ct. netto. Ta ostatnia cena mogłaby nas zadowolić, gdybyśmy byli pewni, że nam taką wypłacać będą. Pomyśleć więc warto o zorganizowaniu u nas targu zwierzyną, a to przez gremialne zawiązanie stosunków z odbiorcami i konsumentami, których poza granicą kraju nie brak. Że to jest jednem z zadań Wydziału Tow. naszego, dowodzić zbytecznie, tego od naszych wybrańców żądać możemy i powinniśmy, wszakże wszyscy radzibyśmy choć raz w roku na ogólnych zgromadzeniach wesprzeć go naszem zdaniem i być nie jak obecnie jesteśmy (jak to trafnie zauważał autor listu z Dobromirki) członkami Towarzystwa *in partibus*... i prenumeratorami „Łowca“; pragniemy wreszcie być członkami żyjącego i czynnego Towarzystwa dla dobra i rozwoju tej gałęzi gospodarstwa w kraju naszym. O ławie targowej we Lwowie, ustanowionej przez Wydział gal. Tow. łow., nie wspomniałem, bo nie spotkałem takich, którzyby byli z niej zadowoleni. Mówiono mi, że korzystnie można sprzedawać zwierzynę w Dreznie, podobno także w Paryżu, gdyż republikanie wytłukli całą zwierzynę. Towarzystwo nasze powinno nam wskazywać miejsca korzystnego zbytu zwierzyny, bo skoro Lwowianie nie chcą nam dobrze płacić za rogacze i dziki, to niech się kontentują zającami. *Władysław Bzowski.*

P. R. Redakcya zniewoloną jest przyznać zupełną słuszność tak korespondencyi p. Kierskiego jakoteż niniejszej i może ze swej strony zapewnić, a to tylko jest dla niej możliwe, że usilnem będzie jej staraniem, wnieść poruszone przez szanownych korespondentów sprawy na najbliższe posiedzeniu Wydziału Tow. łow., kiedy wszakże ono się zbierze, tego oznaczyć nie może.

---

Podaję wiadomość o polowaniu, w Galicyi nieznanem, na wilki w Ukrainie z sieciami i psami gończymi. Jest rzeczą pewną, że inne myśliwemu sprawia uczucie gon psów, a inne gon naganki, szczególnie gdy knieja zamknięta kulec z kulcem. Ostatnie polowanie pozostanie mi długo w pamięci, dał je sąsiad mój S. A w L., a było ono prawdziwie królewskie. Około 11. godz. rano przyjeżdżamy do kniei, gdy ostatnią sieć zakładano, dodnia wabiono wilki, odpowiedziały, więc są i to sztuk 12 t. j. całe gniazdo czyli 2 stare, 7 młodych i 3 zalatki (wilki przeszłoroczne, nie mające jeszcze młodych i trzymające się stada). Puszczono 42 psów, które 4 dojeżdżaczy z harapnikami podkładają. Koło każdej sztuki sieci parobek z drągiem ma obowiązek, gdy naparte przez psy wilki wpadają w sieci, aby się przez nie przedrzeć, zabijać je z pomocą innych pałkami lub brać żywcem i zakneblowane do dworu odstawić, za które po 3 ruble od sztuki dostają. Przeszłego roku przywieźliśmy dwa żywe. Żałuję myśliwych, którzy nigdy nie słyszeli gonu kilkudziesięciu psów, jest to zaprawdę uczucie nie dające się opisać, zwłaszcza gdy jest pewność, że znajduje się w kniei kilkanaście wilków, które wykpić się nie mogą, wtedy gorączka ogarnia, serce się tłucze. W kilka minut po puszczeniu psów rozpoczyna się gon straszliwy w różnych stronach, wnet też padają strzały, wilki się rozsypują, więc i psy się rozdzielają tak, że w tył i naprzód trzeba uwagę zwracać, czy nie pojawi się wilczura zdyszany z wywalonym jęzorem. W przeciągu kwadransa położyłem dwa, a w ciągu tegorocznego polowania 4 bez pudła. Jak długo wilki nie są wybite, nie wolno strzelać do innej zwierzyny. Zawsze po strzale pojawia się dojeżdżacz, jeżeli wilk zabity, to wie, ile jeszcze żywych pozostało, a gdy chybiony, to nawołuje psy w to miejsce i rusza z nimi co koń wyskoczy. Niektóre psy gonią też lisa i zająca, lecz te przepuszcza się nim dadzą znać dojeżdżacze, że wilki już wybite, wtedy wolno strzelać do wszystkiego. Nie omylono się ani o jedną sztukę, jeden wilk zalatek wymknął się zakładając sieci i w przeciągu ledwie dwóch godzin leżało na rozkładzie 11 wilków, 5 lisów i kilka zajęcy. Takich polowań bywa kilkanaście, sąsiedzi nawzajem wspierają się psami i sieciami zwłaszcza, gdy knieja rozległa, a musi być koniecznie kulec z kulcem zamknięta. Wabić umieją doskonale; ciekawością wiedziony dwa razy dodnia pojechałem na wabienie,

przy którem jedno młode wilczę, przyszło do mnie tak blisko, że mogłem je kijem zwalić.

Przeszłego roku było u pana F. P. 22 zamkniętych wilków, ale niestety wszystkich nie wzięto, bo dzień był niesłychanie gorący, wody w lesie nie było, a psy tak sobie pokaleczyły pyski malinami i ożynami w gąszczach, że po dwóch godzinach pokładły się jak nieżywe. Zabito tylko 13 sztuk, reszta została w kniei i nie można było jej dostać. Panowie Starzeńscy mają psy tak rącze i zjadliwe, że tego roku u mego zięcia w Michałówce 5 młodych wilków bez strzału wzięły i gdyby ich nie odpędzono, toby w szmaty podarły tak, iż trudnoby rozpoznać, co to było, co się też z jednym wilkiem stało. Ubiegłego roku wzięły starego wilka, a rozwściekleją się w lesie tak bardzo, że co im w pysk wpadnie, rozszarpują, lisa, psa, cielę, a przybliżyć się do nich niepodobna.

Wyczytawszy w „Łowcu" z Lutego rzadkie zdarzenie z wilkami, które opisuje p. Karwicki, przytoczę podobne, jeszcze rzadsze, którego sam byłem świadkiem. Kiedy psy gończe puszczono w miot, gdzie były owabione wilki, i gdy one zaraz z kraju poczęły gonić zapewne lisa, odezwało się wycie kilkunastu głosów z drugiej strony. Myśleliśmy zrazu, że to niespodziana naganka naśladuje głosy wilków, tymczasem było to prawdziwe wycie wilków. Dwaj leśni stojąc blisko tego miejsca widzieli je, jeden ze strzelbą schronił się na drzewo, a drugi z drągiem uciekł aż do domu. Później, gdy już mieliśmy trzy młode wilki przez psy złapane, stary wilk, zapewne matka, wabił kilka razy na pagórku obok naszego miotu (polowaliśmy wtedy bez sieci). Jest to wypadek tak rzadki i dziwny, że nawet ci, którzy już kilkanaście lat na wilki polują, nigdy coś podobnego nie słyszeli. Widocznie miłość macierzyńska przeważyła bojaźń, i da się chyba wytłumaczyć tem, że działo się to w Sierpniu, knieja była ogromnie podszyta, zupełnie spokojna, żaden pies jeszcze w niej nie był, a wilki w tak wczesnej porze jeszcze nie są bardzo ostrożne i bojaźliwe. Jeszcze jedną uwagę zrobić muszę z powodu zdania p. Karwickiego, że to polowanie z sieciami na wilki już upada i że już nie ma umiejących wabić. Może to być prawdą na Wołyniu, ale na Ukrainie ma się rzecz zupełnie przeciwnie. Kwitnie ten rodzaj polowania najbujniej, znam wiele domów myśliwskich, które mają dosyć sieci i co roku kilka sztuk dorabia się. Każdy myśliwy, posiadający sieci, ma ludzi, umiejących doskonale wilki wabić, czego sam byłem naocznym świadkiem.

*W. B. M.*

---

# KRONIKA.

Mądzielówka 7. Maja.

List otwarty do pana Bolesława Jordana. Wielmożny Panie! Artykuł pański w majowym numerze „Łowca" ogłoszony wyszedł po za ramy sprawy, którąśmy wspólnie bronili. Już sama myśl łączenia się z kłusownikami (złodziejami zwierzyny), wystarcza, bym się zrzekł wszelkiej solidarności z Panem, a obelga rzucona obywatelom kraju za to jedynie, że są pochodzenia ormiańskiego i że jeden z nich był innego zdania, jak Pan, w piśmie tak poważnem jak „Łowiec" (któremu wdzięczny jestem za umieszczenie pańskiej korespondencyi); zniewala mnie do dania Panu odpowiedzi i to nie osobistej, lecz w imieniu wszystkich, którzy korespondencyę pańską czują się objęci. Powiedziałem wyżej, że wdzięczny jestem Redakcyi „Łowca" za umieszczenie tej korespondencyi, bo jakkolwiek dziewięć wieków pobytu na ziemi polskiej wystarczyło, aby z ormian wyrobić ludzi kraj ten szczerze miłujących i zatrzeć różnicę szczepową, to jednak wolę, że taką korespondencyę napisał pan Bolesław Jordan, jak kto inny pochodzenia ormiańskiego. Zdawałoby się to na pozór niemożebnem, ale gdyby chodziło o to, aby coś napisać przeciw posłom pochodzenia polskiego, którzy wotowali za wnioskiem posła Abrahamowicza, toby tylko należało władać piórem pańskiemu podobnem, a to rzecz nie trudna, nauczyć się uważać przeciwników w zdaniu za własnych, porządnych i prawych ludzi za kłusowników, a kłusowników za sprzymierzeńców i treść artykułu stałaby się do pańskiego podobną; jednakowoż ja uważam ten rodzaj piśmiennictwa za tak wyłączną własność pańską, że nie chcę wkraczać w jego prawa i kreślę się jego uniżonym sługą. *Józef Krzysztofowicz.*

---

Kamienna dnia 2. Maja 1886.

Przesyłając korespondencyę moją do „Łowca", uczyniłem to dlatego, by zaznaczyć, że nie wszyscy myśliwi są przeciwni kartom myśliwskim. Na tem sądziłem rzecz skończoną, lecz inaczej się stało, bo artykuł pana Jordana nie pozwala pominąć go bez odpowiedzi. Nie myślę tu poruszać kwestyi, tyczącej się wniosku posła Abrahamowicza, bronić go lub potępiać; ale przemilczeć mi jako ormianinowi i to podkarpackiemu nie wolno, że dobrze wychowany człowiek w podobny sposób nie rzuca się na ludzi, którzy innego są przekonania, nie dotyka narodowości innej, tem mniej, gdyby nawet jeden zawinił, drugich za to odpowiedzialnymi nie czyni i to w podobny sposób. Widocznie w panu J. żółć do tego stopnia wezbrała, że zdrowy rozsądek zupełnie go opuścił, rzuca się bowiem na ormian podkarpackich z całą namiętnością, czyniąc ich odpowiedzialnymi za wszystko złe w kraju, rzekomym zaś dowcipem stara się poniżyć ich w oczach publiczności. Nie do mnie należy orzec, o ile zdanie p. J. jest prawdziwe, jestem bowiem pewnym, że szersza publiczność czytając ten artykuł, zapewne zgodziła się z dopiskiem szan. Redakcyi, atoli ośmielę się powiedzieć, że w tej części kraju podkarpackiej ormianie polacy mogą słusznie o sobie twierdzić, że gorliwie bronią spraw krajowych i narodowych. Dowcipem swoim trafił p. J. kulą w płot przytaczając ustęp o wyniszczeniu zwierząt domowych, z których skórek buty się robią, sądził on, że tem zmartwi ormian, ja zaś zaręczyć mogę, że się grubo omylił. Ormianin żaden tego się nie wstydzi, że ktoś z jego przodków uczciwym zarobkiem się zajmował, a choćby i sam kozinę wyrabiał, to smakowała ona nie tylko jemu ale i innym, co zaś do butów, to Kiliński był szewcem, a ręczę, że dłużej będzie zachowany w pamięci i więcej znany w świecie, jak p. Jordan, o którym teraz dopiero się dowiedziano. Jedno mnie pociesza, że podobne głosy nie idą pod niebiosy, i że żaden ormianin z powodu tej korespondencyi p. Jordana do innych Polaków żalu mieć nie będzie, bo stosunek i węzeł łączący ormian z polakami nie on stworzył i nie on go rozerwie, więc pojęcia p. Jordana w tym względzie są co najmniej elementarne. Za obowiązek sobie poczytuję wypowiedzieć tych kilka słów prawdy p. Jordanowi i radzę szczerze, aby hamował swoją gorączkę, a gdy pisze i drukuje, niech naprzód przeczyta wypiwszy szklankę zimnej wody, wtedy nie narazi się na to, że mu trzeba przypominać formy przyzwoitości i delikatności, nie wyrwie się jak Filip z konopi i nie dozna wcale niepochlebnego rozgłosu. Byłem zmuszony do napisania powyższej korespondencyi, bo jako polak ormiańskiej narodowości bronić ją za obowiązek sobie poczytuję, zresztą mogłyby ztąd powstać niepotrzebne rozterki, o których doniosłości p. Jordan nie pomyślał. W imieniu ormian-polaków zapewnić Go mogę, że choćby jeszcze namiętniej na nich się rzucał, to oni znając lepiej od niego historyę, komu i co winni i jak się w tym kraju zachować mają, do którego sercem braterskiem ich przyjęto, do polaków żalu z tego powodu nie mają i nikogo za p. Jordana odpowiedzialnym czynić nie chcą. Na zakończenie pozwolę sobie zacytować ustęp końcowy korespondencyi p. Jordana zaczynający się od słów: „Na wypadek..." a kończący się słowami: „po długim poście posilić"; i sądzę, że wysoka logika p. Jordana w całej nagości w nich się okaże.

*G. Głuchowski*, ormianin podkarpacki.

---

Łętownia, Maj.

Każda polemika prowadzona spokojnie, bez ubliżających osobom napadów, ma tę wielką zaletę że rozjaśnia różne strony przedmiotu omawianego, a tem samem przez zbadanie rzeczy z różnych punktów wi-

dzenia, wywołuje sprawiedliwy o niej sąd. Do zwalczenia opinii strony przeciwnej należy używać argumentów przemawiających do przekonania, nigdy zaś szyderstwa, bo to jest conajmniej nieuprzejmością i nie przynosi pożytku ani czytelnikom, ani też sprawie samej. Twierdząc, że pan Jordan innem by patrzał okiem na ograniczenie wolności polowania, gdyby był narażony na nieustanne utarczki z tymi, którym wprawdzie Pan Bóg nie zabronił rozrywki myśliwskiej, ale którzy wcale nie przyczyniają się do podniesienia zwierzostanu, nie chciałem mu robić zarzutu sobkostwa, o co mnie posądza, lecz raczej nieznajomości stosunków myśliwskich całego kraju. Dowód na to mam w korespondencyach samego p. Jordana, twierdzi on, że na stu kłusowników nie ma ani kilku, którzyby zwierzynę tępili strzelbami. Z wyjątkiem górskich okolic, gdzie tego rodzaju kłusownictwo jest znane i pominąwszy chwytanie ptactwa błotnego i wodnego na sidła; mogę śmiało twierdzić, nie obawiając się zaprzeczenia ze strony praktycznych myśliwych i właścicieli polowania, że włościanin nasz na szczęście nie zna jeszcze sposobów łapania zwierzyny na sidła druciane. Gdzie są kolonie niemieckie lub w miejscowościach, mających żołnierzy załogi czechów, zdarzają się częściej podobne wypadki, zawsze jednak tylko sporadycznie i w żadnym razie nie mogą się równać nasze stosunki w tym względzie ze stosunkami n. p. Czech, gdzie bardzo wielu amatorów cudzej zwierzyny, polujących bez strzelby. Myli się też p. Jordan upatrując moc obowiązującą w art. I. §. 1. patentu ces. z d. 13. Kwietnia 1786, został on bowiem zniesiony ustawą z d. 30. Stycznia 1875. przez §§. 1. i 2, nie wielkim przeto jest grzechem, jeżeli kto nie zna brzmienia §. 1. patentu z roku 1786, ale bardzo dziwne, gdy kto nie zna najważniejszych paragrafów ustawy z r. 1875., a mieni się praktycznym myśliwym i ma pretensyę do nieomylności. Karty myśliwskie będą pożyteczne tem bardziej, iż zapewne jakaś część funduszów z tego źródła czerpana, użytą zostanie na cele łowieckie. Gdyby się tak nie stało, wtedy pora (?) narzekać, a ja chętnie przyznam, żem złej sprawy bronił. Zresztą ludźmi jesteśmy, każdy z nas może się mylić, choćby moje twierdzenia były mylne, to i w takim razie nie ma pan Jordan prawa inaczej jak on rzecz widzącym odmawiać logiki, szydzić i osobiście ich dotykać, jak to uczynił wobec mnie i wielce zasłużonego dla kraju posła Abrahamowicza. Takiemi drogami niezawodnie do celu nie dojdzie i zaszkodzi raczej sprawie, którą zbyt namiętnie broni.

*Kazimirz Saryusz Remiszewski.*

---

Kamienna 6. Maja.

Mieszkając w południowej części powiatu Bocheńskiego, u stoku gór, mam co roku około 5. Kwietnia aż do początku Maja dobry ciąg słonek tak, że na jednem stanowisku nieraz ośm razy strzelałem. W tym roku do chwili obecnej ani jedna słonka nie przeciągnęła, napróżno kilkanaście wieczorów w lesie spędziłem. Przypisywałem to suszy i wiatrom, które przez cały Kwiecień srożyły się, szczególnie po zachodzie słońca. Obecnie gdy już czwarty dzień śnieg pada i zima najzupełniejsza w Maju się pojawiła, powziąłem przekonanie, że słonki instynktowo przeczuły owe zimna i śniegi i z tego powodu opóźniły swój ciąg, nie przypuszczam bowiem, iżby wcale nie miały ciągnąć, zwłaszcza w moim lesie, gdzie stale się lęgną i dużo ich zawsze w jesieni bywa. — Kuropatwy w tej okolicy ucierpiały bardzo tego roku wskutek śniegów i mrozów, obecnie nie słychać przy zachodzie słońca ich wabienia. Ustawa łowiecka galicyjska nie nakazuje, tak jak pruska w latach, nieprzyjaznych dla kuropatw zaniechania polowania na rok lub dłużej, dokąd liczniej się nie rozmnożą. Uchwała sejmowa dotycząca kart myśliwskich przyniesie krajowi dosyć znaczny dochód, z żalem jednak wyznać należy, że Sejm nic nie uczynił dla tych myśliwych, którzy taki dochód krajowi przysporzą, bo zaprowadzenie kart myśliwskich wcale nie położy tamy kłusownictwu, które niezawodnie tem mniej o karty myśliwskie starać się będzie. Jeżeli nie będą wprowadzone świadectwa przy sprzedaży zwierzyny i surowe kary na przestępców takiej ustawy, to zwierzostan nigdy się w Galicyi nie podniesie należycie. Dotychczas na wszystkich niemal jarmarkach widzę zające łapane na druty lub strzelane nieprawnie przez chłopów, a nikt się nie zapyta, zkąd ta zwierzyna pochodzi. Dla tego najlepsza nawet ustawa pozostanie martwą, gdy jej nikt nie przestrzega i nie kontroluje. Kłusownicy zaniechaliby swe rzemiosło, gdyby nie mogli sprzedać swej zdobyczy. Nawet skóra zwierzyny powinna być stemplowaną, aby kłusownikom odjąć z nich korzyść. Po zaprowadzeniu takiego porządku i kontroli możnaby słusznie wymagać opłaty od kart myśliwskich, choćby nawet wyższej. Z kogo się wyciąga znaczne dochody, trzeba go też wziąć w opiekę, jako pożytecznego kontrybuenta, na czem i kraj skorzysta, bo będzie w nim więcej zwierzyny i stanie się tańszą.

*Józef Ożegalski.*

---

Szczucin (gub. Wileńska) Kwiecień.

Okolica tutejsza, aczkolwiek w lasy, łąki, bagna i wodę obfita, jest w zwierzynę bardzo ubogą. Jeździłem nieraz 10 i więcej mil w koło w różnych porach roku i dnia, lecz nigdzie nie widziałem nawet szaraka, spotykałem tylko niekiedy lisa, wałęsającego się w polu za zdobyczą. Opowiadali mi jednak ludzie wiarogodni, że było tu kiedyś bardzo wiele zwierzyny, mianowicie łosi, sarn dzików, zajęcy, cietrzewi, głuszców, jarząbków i kuropatw, ale po uwłaszczeniu włościan, gdy im pozwolono mieć strzelby, ci wytępili wszystko. Tutejszy chłop, jak każdy inny, gdzie policya nie hamuje, tępi wszystko w każdej porze roku. Zima była tego roku bardzo śnieżna, toż włościanie wygubili prawie wszystkie kuropatwy i zające, które głodem trapione szukały u nich schronienia i pożywienia. Niegdyś umiał i chłop zwierzynę szanować, dziś, gdy znajdzie na nią w każdym czasie kupca, jest on najgroźniejszym jej wrogiem, wilki nawet nie zdołają tak zwierzyny wyniszczyć. Serce się kraje na ten widok, a jednak trzeba jak niemiec mówi: *zum bösen Spiel eine gute Miene machen.* Wielce zadziwiającem jest dla mnie to, że właściciele większych posiadłości dla dobra zwierzyny nic nie czynią. Nigdzie w zimie nie podsypywano dla kuropatw, ani zakładano dla zajęcy żeru, nigdzie też nie widziałem ani jednej remizki w polu większych majątków. Skoro nadejdzie jesień, już nawet w Wrześniu po sąsiednich lasach i polach grają ogary, a gajowi łapią zajączki na pół wyrosłe i kotne samice, których część oddają do kuchni dworskiej, a resztę sprzedają żydom za wódkę i proch. Wszystko to smutne ale prawdziwe. Nigdzie u tutejszych myśliwych nie znalazłem „Łowca", ani jego kalendarza myśliwskiego, krótko mówiąc, nigdzie nie ma gorszych stosunków łowieckich, jak tu. W przeszłej jesieni znalazłem tu dosyć wielką ilość kuropatw, ochraniałem je, ile mogłem, ale gdy nadeszła zima, wszystkie stały się łupem strzelb i sideł włościańskich. Oprócz chłopów robiły tu i lisy wiele szkody, wybiłem ich wielką część, a resztę wytępię wybieraniem ich gniazd jamnikami. Tym sposobem można najwięcej lisów wygubić. Często przy młodych zastaje się starą, która także pada ofiarą. Gdym był nadleśniczym w lasach hr. Augusta Zamojskiego, to w przeciągu trzech lat wytępiłem przeszło 150 lisów jamnikami. Pewnego razu zastaliśmy przy młodych dwie stare liszki. Tłumaczyliśmy ten wypadek tem, że hr. A. Z. dzień przedtem w niedalekiem oddaleniu wybrał gniazdo młodych lisów, nie zastawszy przy nich matki, która szukając swych dzieci weszła do mieszkania swej sąsiadki i tam kłócąc się z nią o macierzyństwo dzieci, doczekała się śmierci od moich jamników, które obie stare liszki, nim je odkopaliśmy, udusiły. O sposobie tępienia lisów jamnikami, o użyciu i układaniu ich, napiszę do „Łowca" wkrótce obszerniej.

*Wiktor Szostak.*

---

Warszawska „Biesiada literacka" w nrze 7. b. r. pisze „Oprócz przepisów policyjno-gminnych, straż pełni także „Łowiec", pismo wychodzące we Lwowie, a będące zchadzką myśliwych ze wszystkich stron. Redagowane świetnie, pełne wiadomości fachowych, opowiadań myśliwskich, kronik ciekawych — ma jedną wadę: jest dla nas za drogie. „Łowiec" dostępny dla dworów pańskich, ale w progach dworku szlacheckiego to gość zanadto sajetowy. A szkoda! takby go czytali wszyscy; niejedna fantazya rozgrzałaby się prawdziwą a rycerską powieścią, otrząsłaby się z zadumy, niejeden, któremu już żyd wyciął wszystkie sosny, czytając „Łowca" słyszałby w swej byłej kniei granie ogarów. W Królestwie „Łowca" nie ma wcale lub jest zaledwie kilku prenumeratorów, chociaż posiada prawo księgarskie; nikt go nie czyta, bo jest — powtarzamy — za drogi. Wydawcy przysłużyliby się ogółowi i swojej kieszeni, wydając edycyę tańszą; wobec zaniedbania myśliwstwa przez tutejsze pisma rolnicze, życzenie to podpiszą wszyscy ziemianie. Tymczasowo lukę wydawniczą wypełnia jak może „Rocznik myśliwski", redagowany przez zasłużonego piśmiennictwu rolniczemu obywatela p. S. Rewieńskiego. Książeczka ta ma dopiero rok drugi, chodzi w sukience zielonej jak ruń jesienna, posiada dużo rzeczy dla pożytku i ciekawości, a chociaż nikt przeczytawszy ją od deski do deski nie nauczy się celnie strzelać, ale nauczy się tak gospodarować w lesie i na ugorze, żeby o każdej porze roku było co strzelać. Uwagi sz. redaktora o środkach podźwignienia łowiectwa z upadku są katechizmem, którego się każdy młody gospodarz powinien wyuczyć, aby nigdy nie popadł w rozpasanie myśliwskie; pięknie w nich maluje przyjemności polowania, zachęcająco je aplikuje jako środek leczniczy dla ciała i duszy, a chociaż mówi jak Nemrod zapalony, nie zapomina o uczciwości, jaką człowiek powinien zachować nawet względem dzikiego zwierzęcia, nie pastwić się nad nim ani znęcać. Nastają czasy, kiedy współczucia, miłosierdzia, wyrozumienia względem bliźnich trzeba się będzie uczyć z pism myśliwskich, chociaż w nich przeważnie o drapieżnikach jest

mowa. Sz. redaktor Rocznika, chociażby z przyjemnością na trokach wieszał berlińskich liberałów i konserwatystów, — jako mądry gospodarz często powołuje się na przykład niemców: dobrze robi, że uczy, jak przyswoić sobie broń, którą oni nad wielu sąsiadami górę wzięli. Ale spieszmy się z tem podglądaniem, bo skoro w Warcinie spostrzegą, że ta praktyka nas wzmacnia, zabronią nam patrzeć na niemców porządnych".

P. R. Przedewszystkiem winniśmy gorąco polecić naszym czytelnikom „Biesiadę literacką",*) jako pismo prawdziwie artystycznie ilustrowane, znakomicie redagowane przez Władysława Maleszewskiego, poświęcone literaturze, sztuce, krytyce, wychowaniu, gospodarstwu, przemysłowi, sprawom bieżącym i polityce. Zacną tendencyę tego pisma szczególnie podnieść należy. Wdzięczni jesteśmy sz. Redakcyi „Biesiady" za przychylną wzmiankę o naszem piśmie, jakoteż za poruszenie sprawy myśliwskiej. Pozwolimy sobie jednak twierdzić, że nie wysokość prenumeraty „Łowca" jest powodem tak słabego rozpowszechnienia jego w Królestwie, lecz raczej brak podniety ze strony publicystyki, szczególnie Warszawskiej, mamy bowiem silne przekonanie, iż, jeżeli istotnie „Łowiec" posiada owe zalety, jakie mu sz. Redakcya „Biesiady" przypisuje, przy częstszem nawoływaniu znaleźliby się w Królestwie mnodzy czytelnicy i prenumeratorowie „Łowca". Główna wszakże wina słabego rozszerzenia „Łowca" ciąży nie na Redakcyi tego pisma, lecz raczej na gal. Towarzystwie łowieckiem, którego ono jest organem, a które nie stara się szerzyć „Łowca" wszelkimi możliwymi sposobami. Być może, iż cena prenumeracyjna jest za wysoką, zwłaszcza że księgarze dowolnie ją podnoszą, cena ta wszakże jest dzisiaj wpłatą roczną przez członków Towarzystwa na mocy statutu składaną. Ponieważ koszta wydawnictwa „Łowca" są dosyć znaczne, przeto w tej chwili zniżenie prenumeraty jest niemożliwe. Gdyby wszakże zgłosili się prenumeratorowie z Królestwa w znacznej liczbie, bezwłocznie i z całą przyjemnością zniżymy cenę, bo nam głównie zależy na tem, aby pismo nasze jak najdalej się rozchodziło i szerzyło skutecznie nasze cele. Ośmielamy się załączyć inserat, który raczy sz. Redakcya „Biesiady" umieścić w piśmie swojem i przesłać go Redakcyom innych pism Warszawskich — oddając nam koleżeńską przysługę, a w razie konieczności jesteśmy gotowi z wdzięcznością należytość za umieszczone inseraty każdej Redakcyi bezwłocznie przesłać. Nie potrzebujemy zapewniać, że z naszej strony wzajemność w oddaniu żądanych usług jest niewątpliwą. Co do „Rocznika myśliwskiego", redagowanego nader starannie i wielce pożytecznego, uważamy za obowiązek, dać o nim wkrótce czytelnikom naszym obszerniejszą wiadomość.

## „ŁOWIEC"

organ galic. Towarzystwa łowieckiego pismo poświęcone myśliwstwu i rybołowstwu wychodzi od roku 1878. pod redakcyą
JÓZEFA ŁOZIŃSKIEGO,
z początkiem każdego miesiąca w objętości dwóch arkuszów.

Cena roczna prenumeraty 5 złr. wal. austr., (5 rs.), którą przesłać należy wprost do Redakcyi (Lwów ulica teatralna 18) z dołączeniem dokładnego adresu.

## ŁOWCA KALENDARZ

myśliwski i rybacki wydany nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego
**na lata 1884, 1885, 1886.**

Format kieszonkowy, druk (19 arkuszy) na welinowym papierze, oprawa pularesowa, ozdobna. — Cena każdego kalendarza 1 rs.

Miesięcznik gal. Towarzystwa ochrony zwierząt daje w nrze 4. z Kwietnia b. r. czytelnikom swoim artykuł zatytułowany: O ustawie myśliwskiej, przemawiający w obronie kart myśliwskich. Krótko się z tym artykułem rozprawimy zapytaniem: *Quid caecus de coloribus?* Istne to majaczenie bez znajomości rzeczy. Szerzej o niem mówić nie warto.

Rosyjskie łowiectwo. Dwaj niemieccy Nemrodowie, hrabiowie Salm i von der Assenburg wybrali sobie Ołonezką gubernię jako cel myśliwskiej wycieczki, aby tam polować na niedźwiedzie. W gubernii tej zwierzostan jest jeszcze tak bogatym, iż zaopatrywać może w zwierzynę całą północno-zachodnią część Rosyi, a myśliwstwo stanowi dla miejscowej ludności znaczny dochód. Najwięcej tam jest zajęcy, jarząbków i wiewiórek. W ciągu ostatnich lat dziesięciu ubijano tam corocznie 10—30.000 zajęcy, 49 111.000 par jarząbków, 48—211.000 wiewiórek. W r. 1884. ubito w tej gubernii 206 niedźwiedzi, 99 wilków, 333 lisów, 216 kun, 31.008 zajęcy, 122.057 wiewiórek, 78 jeleni i łosiów i 557 mniejszych drapieżnych zwierząt, w ogólnej liczbie około 165.000 sztuk różnorodnej zwierzyny, mniej jednak, jak w roku poprzednim, o 84.270 sztuk. Myśliwi pozyskali dochodu 28.000 rubli. Z kur ubito: 93 853 par jarząbków, 8.026 par kuropatw i 31.629 par głuszców, w ogóle 133.508 par ptactwa czyli o 17.786 par mniej, jak w roku poprzednim. Ze sprzedaży kur uzyskano około 46 000 rubli.

*Oester. Forst-Zeitung.*

*) Wychodzi w Warszawie co tydzień w poszytach dwuarkuszowych. Cena prenumeraty za granicą rocznie 6 rs., półrocznie 3 rs., kwartalnie 1 rs. 50 kop. Za dodatek książkowy z powieścią 2 rs. Prenumeratę nadsyłać można wprost do Redakcyi (Warszawa ul. Chmielna 26).

### Telegram.

Powróciłem ze Styryi z polowań na głuszce u mego kuzyna księcia Lichtensteina. W przeciągu trzech dni zabiłem 12 głuszców, z tych pierwszej nocy 4, ostatniego zaś ranka ja sam zabiłem 6. Rezultat to rzeczywiście świetny, nikt więcej nie zabił. Czas był cudowny śród bardzo uroczej alpejskiej okolicy. *Roman Potocki.*

## *Ogłoszenia.*

Z wielu stron od osób poważnych, między innemi od hr. Kazimirza Wodzickiego, otrzymujemy słuszne wymaganie, iżby „Łowiec" zaprzestał umieszczać artykuły, szczególnie polemiczne, dotyczące sprawy wniosku posła Abrahamowicza, jako już wszechstronnie i dostatecznie wyjaśnionej. Bardzo chętnie ulegając temu wymaganiu, oświadczamy, iż odtąd tylko takie artykuły, odnoszące się do tej sprawy przyjąć możemy, które ją ze stanowiska, dotąd nie dotkniętego i ściśle przedmiotowo traktować będą.

Szanownych panów R. z Łętowni i R. z Dublan przepraszamy, żeśmy dotąd ich cennych, łaskawie nam przysłanych artykułów, nie umieścili, *nemo obligatur ultra posse.*

P. W. S. w Szczucinie. Numera żądane przesłaliśmy w swoim czasie, bieżące wysyłamy każdego miesiąca.

## INSERATY.



Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Związkowa Drukarnia we Lwowie.